Nr. 28 (1072). Warszawa, dnia 30 Czerwca (13 Lipca) 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ: POLITYKA: „Zlot Sokołów.“ — ODCINEK: Chybione swaty (c. d.), p. Napoleona Rouby. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Reforma szkół, p. Zen. Piet. — Listy galicyjskie, p. Dalekiego. — FEJLETON: Pamiętnik. — BADANIA NAUKOWE: Teorya poznania zjawisk gospodarczych, II, p. dr. K. Krauza — LITERATURA I SZTUKA: Fryderyk Henryk Amiel, I, p. Stanisława Brzozowskiego. — Notatki literackie i artystyczne. — SPRAWY EKONOMICZNE: Kupiec w wieku dziewiętnastym, p. H. Forsztetera. — Na marginesie. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi — Ogłoszenia.

POLITYKA.

„Zlot Sokołów.“

Dnia 30 z. m. zebrały się w Pradze stowarzyszenia gimnastyczne czeskie na popis, który przez zaproszenie gości z Rosyi, Francyi, Galicyi, Poznańskiego i krajów słowiańskich po za Galicyą stał się międzynarodowym, a z gimnastycznego przedzierzgnąć się musiał i w polityczny. Rzecz prosta, że sama nieobecność Niemców, a obecność Francuzów sportowi politycznemu, złączonemu z tym „zlotem,“ nadała tchnienie wrogie Niemcom. Zjazd był nadzwyczajny: kilkanaście tysięcy naliczono samych siłaczy zrzeszonych, a liczba ciekawych, którzy zjechali do „Zlatej Prahy“ na sokolskie święto, była wdwójnasób większa. Wśród ciekawych znalazło się i wielu poważnych polityków, znakomitości, życia czynnego i umysłowego, literatów, publicystów i dziennikarzy — cudzoziemców i swojaków; znalazł się też i gen. Rittich. Szczególny zapał wzbudzali goście rosyjscy i francuscy. Lud wyprzęgał im nawet konie z powozów, aby radość swoją zadokumentować w sposób już dostatecznie przekonywający. Goście też ci podczas całej trzydniowej uroczystości zajmowali miejsca honorowe w lożach sportowych i w sercach czeskich.

Burmistrz Srb (Serb), który tak niedawno przemawiał do cesarza austryackiego jako gospodarz w Pradze, przemówił teraz do Sokołów jako Czech cieszący się z rozkwitu pięknej instytucyi narodowej. Życzył Czechom całym przejęcia się tym duchem równości, jedności i braterstwa, który ożywia Sokołów. Życzenie to w znacznej już mierze jest rzeczywistością a zniknięcie w r. 1891—2 staroczeszczyzny politycznej z chwilą, gdy młodych wprowadził anioł dziejów na tory życia i potęgi — najlepiej ową jedność i braterstwo jako rzeczywistą zaletę i istotną siłę społeczeństwa czeskiego stwierdziło. Szczęśliwe to społeczeństwo i przykazania równości łepiej też przestrzega od wielu innych. Z małego człowieczka z ludu, nie z wielkich gwiazd na arystokratycznych, możnowładczych, wielko szlacheckich szczytach wybuchnęły płomienie odrodzonej narodowości czeskiej: arystokracya obcą była najpierwszemu procesowi odrodzenia, a prawdziwie już szczęście, chimera drażniąca rozum, sprzyjało narodowi czeskiemu, gdy jego arystokracya, od Białej Góry i Ferdynanda jeszcze niezgniła, szczerze, z odrodzonemi sercami, stanęła po stronie maluczkich i ich przewodników i połączyła się z ludem. Łatwiejszą ma tedy sprawę równość w Czechach, niż gdzieindziej, bo Czechy to lud, a lud układając się do jednego poziomu, tem samem już ideał równości urzeczywistniać może.

Polityczny moment zjazdu przypadł na bankiety. Pierwszy wyprawili Czesi d. 1 b. m. w klubie słowiańskim. Prof. Swadkowski z Petersburga wychwalał karność Sokołów, karność tak niezbędną dla całej Słowiańszczyzny — mówił — i zakończył mowę swą toastem na cześć sojuszu francusko-słowiańskiego. Gen. Rittich zalecił Czechom zasianie w swych sercach miłości dla potężnej Rosyi i wzmocnienie handlowych z nią stosunków: jest w niej dużo miejsca i dla Czechów. Na bankiecie d. 2 b. m., wyprawionym przez gości francuskich, prezes rady municypalnej paryskiej, Dousset, sławił Czechy, a w Czechach Riegera. Rieger odpowiedział wysławianiem humanitarności—tej szerokiej piersi francuskiej, która zapewnia Francyi sympatyę ludów. Niemcy wzbijają się na wyżyny nad horyzontami wiedzy, nauki, sztuki, ale nie umieją sobie skarbić miłości. „Niech żyją wszakże wszystkie narody cywilizowane!“ — okrzyk roztropnej, sędziwej mądrości — a przytem i bardzo naturalnego egoizmu. Herold na dalszem w innem miejscu biesiadowaniu powtórzył zapewnienia Riegera o miłości dla Francuzów, a gdy Dousset, rozdawszy medale złoty i srebrny, bronzowym obdarzył Podlipnego, niegdyś burmistrza, obecnie współredaktora dziennika *Narodni listy*, obdarowany w uniesieniu zawołał, że są trzy tylko miasta, w których panuje wzajemna miłość narodowa: Paryż, Praga i Moskwa. Słowa te niesłychany wywołały entuzyazm.

D. 3 b. m. goście rozjechali się. Nie każdy z nich mógł odrazu podczas uroczystości samych wypowiedzieć wszystko, co czuł; byli i tacy, którzy potrzebowali się wypisać. Pomiędzy innymi gen. Rittich, według „Agencyi telegraficznej rosyjskiej,“ poruszył do głębi Pragę listem do zarządu miejskiego w chwili wyjazdu wystosowanym. Zasyłając pozdrowienie pożegnalne, generał pisze, że przybył do Pragi na to, by przekonać Czechów o miłości Rosyan dla nich, wezwać ich do ufności w potęgę rosyjską i przypomnieć im obowiązek zaznajamiania się z niezmierzoną ziemią rosyjsko-słowiańską. W Rosyi znajdą Czesi niewyzyskane bogactwa przyrodzone, znajdą pracę dla ducha i dla rąk, znajdą postęp ekonomiczny i przemysłowy, znajdą w mieszkańcach jej siłę i samodzielność. Zakorzeniają się one coraz mocniej pod wpływem tego przekonania, że jednostka powinna służyć ogółowi ludności. „U nas wszystko czyni się dla ludności — pisze autor listu — Samowładczy nasz Cesarz równie przejęty jest miłością dla ludu, jak bojar, jak bogacz, jak

biedak. W powszechnej miłości ludu tkwi nasza siła.“ A jest to nietylko niezmożona siła fizyczna, ale i dzielna siła moralna: współczuje z każdym uciskiem, gotowa zawsze gnębionemu dopomódz. W tem tkwi źródło siły słowiańskiej. *In hoc signo vinces.*

W zakończeniu tego listu, według „Rosyjskiej Agencyi telegraficznej“ czytamy: „Życzę wam, Czechom, z całego serca, ażeby Bóg wskrzesił narodowość czeską i pozwolił Czechom zaznać prawdziwej wolności narodowej; ażeby wzmocnił ich samopoczucie, rozpostarł ich oświatę i język i dał im obfitość dóbr doczesnych, co osiągną wówczas, gdy stosunki ich handlowe dosięgną z jednej strony Adryatyku, z drugiej oceanu Spokojnego. Amen, Amen. Wierzcie, mówię wam, i zdajcie się na Boga ziemi rosyjskiej! On jest wielki. On stworzył naszą potężną Rosyę słowiańską!“ Temi słowy kończy się list jednego z najwybitniejszych uczestników święta sokolego w Pradze.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

REFORMA SZKÓŁ.

Prawit. Wiestnik zamieścił komunikat treści następującej: „W maju r. b., z Najwyższego zezwolenia przy ministeryum oświaty, pod przewodnictwem ministra, generał-adjutanta Wannowskiego, stworzono komisyę specyalną w sprawie przekształcenia szkoły średniej. Zacząwszy działalność swą 28 maja (s. st.), skończyła ona obecnie opracowywanie przepisów zasadniczych dla nowej szkoły średniej z systemem wykształcenia ogólnego, ułożyła tablice lekcyj i projekty planu naukowego i zarazem rozpatrzyła sprawę, dotyczącą porządku wprowadzenia nowego planu wykładów w istniejących gimnazyach męzkich, progimnazyach i szkołach realnych. Następnie w interesie nauki, mając na względzie konieczność przekształcenia szkoły średniej z możliwą szybkością, komisya opracowała projekt szczegółowy, który zaleca dokonanie zupełnej reformy w r. 1905.

Według projektu komisyi, rządowa szkoła średnia, ogólnie kształcąca, powinna stanowić jedyny ogólny typ dla wszystkich zakładów naukowych tej kategoryi z kursem siedmioletnim. Z programu nadto wykluczony będzie język grecki; co do łaciny, pozostanie ona tylko w czterech wyższych klasach. Ci jednak, którzy nie zechcą go się uczyć, będą mogli zastąpić ten przedmiot uzupełniającym kursem przyrodoznawstwa i sztuk graficznych.

Zamiast zniesionych wykładów języka greckiego i skróconego programu łaciny, wprowadzone będą w szkole średniej ogólnego typu wykłady nauk przyrodniczych, prawoznawstwa, dwu języków nowożytnych, historyi ojczystej, a nadto rozszerzone będą wykłady literatury rosyjskiej i powszechnej, historyi i matematyki.

Porządek i warunki wstąpienia do uniwersytetu tudzież innych wyższych zakładów naukowych wyszczególniono w przepisach zasadniczych. Nadto, w przepisach tych wskazano porządek wyjątków od ogólnego typu dla szkół utrzymywanych lub zasilanych przez zarządy miejskie, ziemstwa, towarzystwa, stany i osoby prywatne. Wreszcie opracowano plan średnich szkół klasycznych z obowiązkowym wykładem języka greckiego i łacińskiego. Szkoły takie, zdaniem komisyi, należałoby pozostawić we wszystkich miastach uniwersyteckich i w Wilnie.

Wyszczególnione wyniki prac komisyi przedstawione były do Najwyższego przejrzenia, przyczem Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan raczył w zupełności podzielić wypowiedziane przez komisyę poglądy co do potrzeby zwrócenia szczególnej uwagi na wychowanie młodzieży szkolnej i przysposobienie jej do karności, na potrzebę wzmocnienia nauki gimnastyki, ćwiczeń wojskowych i fizycznych, wprowadzenie ruchliwych zabaw, wycieczek szkolnych i spacerów, jak również pracy ręcznej wszędzie, gdzie to będzie możliwem.

Jednocześnie Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan raczył podzielić projekt generał-adjutanta Wannowskiego o zachowaniu wspomnianych wyżej gimnazyów: w Petersburgu, Moskwie, Kijowie, Warszawie i Jurjewie, po jednem w każdem z tych miast. Z Najwyższego zezwolenia wszystkie projekty komisyi będą następnie oddane za pośrednictwem kuratorów okręgów naukowych do przejrzenia radom opiekuńczym i pedagogicznym niektórych średnich zakładów naukowych i do zaopiniowania oberprokuratora Świątobliwego Synodu, oraz tych ministrów, pod których zwierzchnictwem pozostają szkoły. Zdania wszystkich tych osób i instytucyj w ciągu zimy będą rozważone przez ministeryum oświaty.

Reforma szkół średnich zacznie się od klas najniższych, zmiana zaś wykładów dotyczyć będzie przedewszystkiem języków starożytnych; mianowicie jeden z nich, grecki, będzie zupełnie wykluczony z liczby przedmiotów obowiązujących, drugi zaś, łaciński, pochłaniać będzie tak dużo godzin (43), że pożądane jest niezwłoczne ich zmniejszenie celem zużytkowania wolnego czasu na wzmocnienie wykładu niektórych innych przedmiotów. W interesie młodzieży uczącej się i wstępującej do szkół, tudzież celem uniknienia znacznego przełomu w systemie szkolnym, komisya uznała za rzecz wielce pożądaną i ze względów pedagogicznych bardzo pożyteczną, zastosować niektóre środki przygotowawcze do reformy już w przyszłym 1901/2 roku szkolnym, mianowicie zaprojektowano znieść w gimnazyach i progimnazyach wykłady języka łacińskiego w pierwszych dwu klasach, tudzież greckiego w trzeciej i czwartej, a natomiast wzmocnić naukę języka rosyjskiego i geografii; wprowadzić od pierwszej klasy lekcye historyi i jednego języka nowożytnego, tam zaś, gdzie warunki miejscowo pozwolą, także przyrodoznawstwa od pierwszej klasy.

Na mocy rozkazu Najwyższego zmiany te, jako środki tymczasowe, mają już być wprowadzone od przyszłego roku szkolnego.

Tak więc rozpoczyna się nowa bardzo doniosła epoka w szkolnictwie średniem. Idea usunięcia nadmiaru klasycyzmu, od lat kilkudziesięciu walcząca z silną zachowawczością systemów pedagogicznych, na_

---

2)

Napoleon Rouba.

CHYBIONE SWATY.

Przed południem panienka, jedyna dziesięcioletnia córka dziedziczki, siedziała z guwernantką na ławeczce ogrodowej. Było gorąco i słońce silnie paliło, więc Iza, zmęczona bieganiem, siedziała spokojnie, przerzucając kartki książki z malowankami, nauczycielka już podstarzała, lecz tęga Angielka, miała ją na oku, zajęta czytaniem angielskiego romansu.

Trzecim z towarzystwa, lecz najmniej spokojnym, był prześliczny buldog barwy czekoladowej, który nie mógł sobie znaleźć dość wygodnego miejsca dla przedobiednej drzemki po kilkagodzinnych figlach ze swoją panią.

Aż nareszcie ułożył się wygodnie w bróździe małej grządki kwiatowej, prawie cały chowając się pod zwisającemi gałęziami krzaku róży, okrytego pięknymi kwiatami.

Miejsce to już zdawało się być zupełnie dobrem, aliści i tu znalazł się wnet powód do niezadowolenia psa. Dokoła krzaku brzęczały roje pszczół, obsiadając kwiaty i ciągnąc z nich pożądane słodycze. Buldog zrazu porwał się z miejsca, gniewnie rzucił dokoła ogromnemi, wypukłemi ślepiami i warknął groźnie, ukazując silne, białe kły. Lecz potrzeba snu przemogła oburzenie, a napastnicy zdawali się na niego nie zwracać żadnej uwagi; owszem, brzęczenie ciche i jednostajne kołysało go do snu i w końcu istotnie uśpiło.

Nagle skoczył gwałtownie i z jękiem boleści począł się rzucać, uderzając pyskiem o trawę i piasek.

— Ramp, co ci to! Ramp tu, do nogi! — wołała złotowłosa dziewczynka, rzucając książkę na ziemię.

Buldog w szale bólu zapomniał o karności i pobiegł, jak wściekły, po ogrodowej ulicy, sapiąc gwałtownie i rzucając się w podskokach.

Na biedę, ulicą szedł Antek, z blaszaną polewanką, dążąc po wodę do sadzawki. Znał on psa dobrze i wiedział, że nie potrzebuje się go obawiać, atoli ten go schwycił zębami za łydkę.

Chłopiec próbował się bronić, zadając psu razy konewką, ale to nie nie skutkowało, pies szarpał jego ciałem, zadając mu straszliwy ból.

Wtedy chłopiec, z bólu skulony na ziemi, porwał obu rękami buldoga za gardziel i zaczął dusić z całym wysiłkiem koniecznej samoobrony. Jego oczy błyskały gniewem, zęby się również jak u psa ścisnęły, dusił coraz silniej i z większą zaciętością, przez pół leżąc, na obalonym buldogu.

Nadbiegła Iza i drobnemi rączkami chwyciła chłopca i faworyta, krzycząc głośno:

— Puść-że go, puść!

Chłopiec zrozumiał, że zakaz odnosi się do niego, gdyż pies już przed chwilą otworzył paszczę i rzęził, obracając językiem, więc puścił natychmiast.

Bestya drgnęła kilkakrotnie i została nieruchoma na piasku.

— Cóżeś ty zrobił, niegodziwcze?— krzyczała dziewczynka z płaczem, jednocześnie groźnie przyskakując do klęczącego Antka.

Chłopiec zerwał się na nogi i stał, jak winowajca. Wtedy Iza spostrzegła jak z jego nogi podkurczonej, spływała strugą żywa, czerwona krew, barwiąc spodnie płócienne i brudną stopę nagą. Zapomniała o Rampie, domyślając się bólu Antka, i machinalnie prawie przyklękła, unosząc kołoszę, dla sprawdzenia rany skaleczonego. Zbladła, patrząc na cztery krwawiące zagłębienia, pozostałe po kłach buldoga.

— Bardzo cię boli? — spytała z współczuciem.

Chłopiec nie odpowiadał, bo nie mógł oderwać oczu od psa, oczekując rychło on wstanie i może znowu go skaleczy.

Miarowym krokiem zdążyła już nadejść niezmiernie sztywna Angielka i w milczeniu obejrzała położenie rzeczy.

— Wstań Izo i wróć na ławkę, a ja pomyślę o ratunku wiernego Rampa.

Dziewczynka wstała, ale nie myślała

reszcie zwyciężyła i przychodzi ze zbawczą pomocą wielkim rzeszom młodzieży szkolnej.

Młodzież i jej ojcowie powitają tę doniosłą reformę z radością, byli wychowańcy gimnazyów — z żalem, że nie przyszła ona w okresie ich nauki szkolnej. Każdy, kto się nie poświęcił wyłącznie filologii, i to z zamiłowaniem prawdziwem, kto przytem nie posiadał szczególnych zdolności do języków starożytnych—opuszczał gimnazyum z uczuciem ciężaru i znużenia, które pochodziły z przeciążenia umysłu nadmiarem łaciny i greki. Cały system wykładu tych przedmiotów, niepowętnych, niezwiązanych z życiem, niepobudzających ani rozwijających umysłu, wbrew mniemaniu starych pedagogów - rutynistów, wzbudzał nie zamiłowanie, lecz raczej wstręt do nauki. Już samo uciekanie się do sposobów mnemonicznych, tj. układanie w wiersze i rymy wyjątków gramatycznych, wymownie dowodziło, jak było ciężko utwierdzić w umysłach młodocianych suchy i martwy przedmiot— i po co? Po to, ażeby się nauczyć „skandować,“ przeczytać z mozołem parę utworów klasycznych, które wybornie i kilkakrotnie już przełożono na wszystkie języki.

W programach nauk gimnazyalnych języki starożytne zajmowały tak dużo godzin w klasie i zabierały młodzieży tyle czasu po za szkołą, że uczniowie o zwykłych zdolnościach, nawet bardzo pilni, nie mieli czasu na przedmioty w gruncie rzeczy ważniejsze i potrzebniejsze. Przytem wielce charakterystyczną jest cechą nauczycieli języków starożytnych, że każdy z nich w całym programie szkolnym widzi jedynie tylko swój przedmiot, więc z wielką surowością stosuje do uczniów wymagania niepomierne.

Języki starożytne były tedy głównymi przedmiotami przeciążenia młodzieży szkolnej i przyczyną zniechęcenia jej do nauki wogóle. Spotykaliśmy setki wychowańców gimnazyów, którzy, nawet po latach wielu, wzdrygali się na wspomnienie o męczarniach przebytych, o czasie nieprodukcyjnie i niepowetowanie zmarnowanym na naukę języków starożytnych. Większość z nich w kilka lat po opuszczeniu ławy szkolnej tak daleco zapomina wiadomości zdobytych z dziedziny klasycyzmu, że nie pozostaje w pamięci nic, oprócz pewnej liczby wyrazów lub aforyzmów greckich i łacińskich. Jest to objaw całkiem naturalny. Wszelkie inne przedmioty szkolne są podstawą do rozwoju umysłu, a więc pośrednio lub bezpośrednio pozostają w ciągłem użyciu bądź w praktyce życiowej, bądź w dalszem kształceniu i rozwijaniu się. Tymczasem języki starożytne, o ile nie dostały się do umysłu filologa specyalisty, pozostają przedmiotami zupełnie martwymi, jak kula ołowiana w głowie, która jako obce ciało w organizmie żywym, otacza się stwardniałą i szczelnie zamkniętą kapsułką. Był czas, kiedy utrzymywano, że łacina jest potrzebna dla medyków. Ta jednak łacina, którą się posługuje anatomia, patologia i farmakologia, składa się z niewielkiej grupy wyrazów, których nawet dobrze nie rozumieliby klasycy rzymscy. Na ich wyuczenie się zamiast mozolnej ośmioletniej pracy wystarczyć może parę tygodni. To samo można powiedzieć i o łacinie, potrzebnej w aptece.

Taki, chociaż słaby związek łaciny z wiedzą współczesną czyni to jednak, że dłużej ona tkwi w umyśle, niż język grecki, który po kilku latach zupełnie ulatuje z umysłów wychowańców gimnazyum.

Usunięcie tego balastu da możność kształcenia się młodzieży w dziedzinie zaniedbanych dotychczas nauk przyrodniczych, historyi i geografii, tj. tych przedmiotów, które nie mogą być traktowane jako elementarne.

Nadto umysł, nie przybity klasycyzmem, będzie sprawniejszy i łatwiej przyswoi sobie inne przedmioty ważne, ogólnie kształcące, na których gruntowne utrwalenie w pamięci nie było dotąd czasu. Wreszcie niewątpliwie będzie wzmocniona nauka języków nowożytnych, które dotychczas tak są traktowane, że uczeń po skończeniu całkowitego kursu gimnazyum, o ile nie brał lekcyj dodatkowych w domu, prawie ich nie umie.

Przed kilku miesiącami sfery ministeryalne zwróciły uwagę na potrzebę wykładów ekonomii politycznej w gimnazyach. Niewątpliwie ten przedmiot doniosły i niezbędny będzie wprowadzony w dalszym ciągu reform. Co do języków starożytnych, pozostawienie ich jako przedmiotów nieobowiązkowych, przyniesie taki rezultat, że uczyć się ich będą tylko ludzie obdarzeni specyalnemi zdolnościami i czujący szczególne zamiłowanie do klasycyzmu. Będą więc to wyniki o wiele owocniejsze, niż dzisiaj.

Zen. Piet.

LISTY GALICYJSKIE.

Wkrótce już zapewno dzienniki galicyjskie ogłoszą, że w pieczarach na Krzemionku znaleziono ogromną ropuchę. Będzie to znak, powtarzający się prawie regularnie co roku, a świadczący o ostatecznem rozpoczęciu się sezonu ogórkowego. Tymczasem jednak puls życia publicznego Galicyi bije przyspieszonem tętnem, a różne stowarzyszenia i stronnictwa, przybywające na zjazdy, budzą powszechne zaciekawienie i nie dopuszczają na szpalty dzienników wiadomości odgrzewanych, przechowywanych od dawna w tekach redakcyjnych na czas kanikuły. W ciągu najbliższych dni kilku odbędzie się zjazd delegatów Towarzystwa szkoły ludowej (we Lwowie), następnie zjazd maturzystów tegorocznych, zwołany do Krakowa przez redakcyę lwowskiego *Promienia*, dalej kongres dwóch stronnictw ludowych: partyi chłopskiej, kierowanej przez *Przyjaciela ludu* i byłego posła Stapińskiego (w Tarnowie), oraz partyi robotniczej (we Lwowie). Nareszcie, obok tych zjazdów, mających niewątpliwie dobro kraju na celu, choć może niejednakowo zapatrujących się na środki do tego celu prowadzące, odbędzie się zgromadzenie czynników, narzucających przemocą swą wolę krajowi w imię brudnych, egoistycznych interesów garści oligarchów. We Lwowie zbierze się sejmowe Koło polskie w celu powzięcia uchwały co do wyboru t. zw. centralnego komitetu wyborczego, całkiem słusznie ochrzczonego przez kogoś niedawno „matią galicyjską.“

Warto się przyjrzeć bliżej tej instytucyi, odpowiedzialnej za wszystkie fałszerstwa i nadużycia, praktykowane przy wyborach w Galicyi, za te setki lat więzienia i obficie przelewaną krew chłopską, za rozpacz i niedolę mas ludowych, ograbionych cynicznie z praw, zapewnionych im przez zwodnicze ustawy państwa.

---

o spełnieniu drugiej części rozkazu, lecz ujęła chłopca za rękę.

— Czy będziesz mógł iść ze mną?

— Mogę, panienko.

— Więc chodźmy do dworu, gdyż trzeba ci natychmiast tę ranę obwiązać.

Poszli tedy razem, zostawiając Angielkę z Rampem, którego ona usiłowała cucić, dotykając go nogą i parasolką.

Rana Antka okazała się mniej ciężką po obmyciu, co niewątpliwie zawdzięczał grubemu płótnu swoich spodni, które osłabiły siłę kłów zwierzęcia. Wszakże Iza dopilnowała, aby ją starannie obmyto środkami ściągającymi i obwiązano.

Z porady matki kazała Antkowi później usiąść w ogrodzie i okładać nogę lodem, zalecając, aby nie szedł do domu na obiad, którego czas już obwieścił dzwonek folwarczny.

Wysoki i nad wiek rozrosły chłopiec naprzód bardzo zmarkotniał, ale usłuchał rozkazu, choć czuł głód większy jeszcze niż zwykle. To uczucie, głodu kazało mu zapomnieć o bólu w nodze, który zresztą wkrótce zginął prawie zupełnie od okładów z lodu.

Niespodziewana sprawa obiadu została niebawem rozwiązana nader pomyślnie. Dziewka folwarczna przyniosła mu dwojaki z ziemniakami i krupnikiem, więc je zmiótł w parę pacierzy z całą skwapliwością. Ale po zaspokojeniu głodu wróciła troska o tego Rampa, który tam został na ścieżce, jak nieżywy.

Nadszedł stary ogrodnik, który już wiedział o całym wypadku i śpieszył do Antka, gdyż lubił go bardzo za sprawność w wykonaniu poleceń i gorliwość przy robocie.

— Cożeś tam zbroił, rozpustniku?

— Ja się jeno broniłem i nie szukałem z nim zaczepki nawet słowem—tłomaczył się chłopak z pokorą.

— Pal go licho! nie będzie bestya harcował mi po kłąbach i trawnikach—dodał staruszek dla zaspokojenia ulubieńca.

— A panienka? — pytał ten bojaźliwie.

— A cóż panienka! sprowadzi sobie coś drugiego i kwita.—Jadłeś-że ty obiad?

— Dali mi cośkolwiek.

Staruszek przyniósł mu po chwili kawał chleba z serem ze swoich własnych zapasów.

Słowa ogrodnika, a bardziej jeszcze ten chleb z serem, uspokoiły chłopca znacznie, podsuwając mu myśl, że występek jego nie musiał być tak wielkim, jak mu się to zrazu wydawało. Po zjedzeniu do okruszyny dodatkowego deseru, postanowił nie zwłocznie sprawdzić, co się zrobiło z psem.

Powstał więc i trochę kulejąc na nogę, powlókł się na miejsce wypadku. Pies leżał już sztywny, a cały był zlany wodą i jeszcze czemś, co biło dziwnie w nos jakimś nieznanym, silnym zapachem. Rzecz prosta, chłopiec nie mógł odgądnąć, że sztywna Angielka w gorliwości przywrócenia psa do życia wylała na niego cały flakon potrójnej wody kolońskiej.

Widok psiego trupa dotknął chłopca niemile. Czyby go nie zakopać gdzieś pokryjomu? — przemknęła mu myśl przez głowę, wahał się tylko, czy to nie będzie nowe przestępstwo.

Wśród takich rozmyślań zastała go Iza, niosąca troskliwie sporą salaterkę w obu rękach.

— Brzydki chłopaku! czemu nie siedzisz w miejscu spokojnie i chodzisz bez potrzeby?—połajała go łagodnie.

On zdjął z głowy słomiany kapelusz i stał zakłopotany.

— Masz oto obiad, który dla ciebie schowałam—dodała panienka, dając mu w ręce salaterkę z jadłem.

Prawie na łzy mu się wtedy zebrało z rozczulenia.

— Chciałem go pogrześć — szepnął patrząc na nią błagalnie.

— Dobrze, zakopiesz go później tu, w tem samem miejscu, ale wprzód zjedz, co ci przyniosłam.

Poczem kazała mu usiąść przy sobie na ławeczce i patrzyła, jak zabierał się do jedzenia. Śmiała się, widząc jego zdziwienie i niezgrabne ruchy, kiedy łyżką brał ćwiartki kurczęcia.

— Bierz wprost ręką!—poradziła.

Domyślała się, że jadło w salaterce może mu być nieznane, więc mu je nazywała, dotykając prawie paluszkiem rzeczy wskazywanych.

— Tu masz kurczę pieczone z farszem, tu kilka pasztecików w cieście francuskiem, tu jest sałata z ogórkami, śmietaną i jaj-

Czemże jest ten centralny komitet wyborczy? Na czem polega jego potęga, co daje mu taką moc, że kandydat, przezeń zatwierdzony, jest, a raczej był do ostatnich czasów, pewnym „zwycięztwa"?

Pod koniec ostatniej sesyi sejmowej klika najbardziej reakcyjnych posłów w sejmie, nosząca nazwę Koła polskiego, wydaje ze swego łona ciało, które ma figurować przy najbliższych wyborach jako Komitet centralny. Ten ostatni składa się z najbardziej stanowczych konserwatystów, ale dla okrasy dobiera się paru t. z. demokratów—w znaczeniu galicyjskiem—tj. ludzi, którzy nie posiadają własności ziemskiej, dla których więc jej interesy są obojętne, ale którzy nie mają żadnego innego oparcia, oprócz protekcyi szlachty. W ten sposób tworzy się „niekompletny" Komitet centralny z 10 osób, który rozpisuje listy do marszałków powiatowych z poleceniem utworzenia miejscowych komitetów wyborczych. Marszałkowie zwołują właścicieli wielkiej posiadłości ziemskiej, zależnych od nich księży rzymsko-katolickich i nie należących do opozycyi unickich, oraz chłopów, zwanych w Galicyi Wschodniej „chruniami." Grono to mianuje kandydata, (najczęściej dotychczasowego posła) i wybiera delegata, który jedzie do Lwowa dla wzięcia udziału w „skompletowaniu" Komitetu centralnego. Z pośród tych delegatów wybiera się 6-ciu „najpewniejszych." Stanowią oni, pomimo swej „pewności", mniejszość w Komitecie i razem z 10 członkami jego, mianowanymi przez Koło polskie, kooptują jeszcze 5 członków: dwóch rabinów i trzech redaktorów. Dwaj pierwsi mają za zadanie zmobilizować szkoły miejskie przeciw opozycyi, trzej ostatni —„robić opinię."

W ten sposób powstaje sprężysta i karna machina, nie pogardzająca żadnymi środkami i opierająca się na władzy, poczynając od namiestnika, a kończąc na na najniższym jej przedstawicielu—wójcie w gminie. Ale do prowadzenia wszelkiej kampanii, a zwłaszcza tak kosztownej, jak wybory galicyjskie, potrzeba przedewszystkiem pieniędzy. Komitet centralny rozumie to doskonale i umie je zdobywać. Przedewszystkiem cała wielka posiadłość ziemska jest opodatkowaną w rozmiarach 4—5% płaconego przez nią podatku gruntowego, a następnie każdy kandydat jest obowiązany złożyć pewną kwotę. Wysokość tych składek poszczególnych kandydatów dochodzi do 5-ciu, 10-ciu i 15,000 zlr.

Zrozumiemy więc teraz, czem jest ten Komitet centralny, posiadający olbrzymie fundusze i trzymający w swych rękach wszystkie czynniki kraju.

Co prawda, czasy są coraz cięższe, niezadowolenie mas ginących z głodu coraz większe, poziom uświadomienia ludu podnosi się coraz bardziej: Komitet centralny musi wszystkich sił dobywać, ażeby zachować „Besitzstand" szlachty. Nie na darmo tak się wysilali konserwatyści, ażeby przygarnąć do Koła*) posłów chłopskich. Udało się im to w połowie, gdyż czterech posłów stojałowczyków porzuciło drogę opozycyjną: pozwoliło się wciągnąć do Koła. Nie wiadomo tylko, czy konserwatyści będą mieli z tego wielki pożytek. Przedewszystkiem ks. Stojałowski jest bardzo marnym materyałem na sojusznika; niema stanowiska, z któremby się nie łączył, ale niema i partyi, którejby nie zdradził. Następnie zdrada czterech posłów chłopskich, jak dotychczas, nie doznała wśród chłopów-stojałowczyków życzliwego przyjęcia.

Chcąc otrzymać aprobatę chłopów dla swego nowego zwrotu taktycznego, ks. Stojałowski zwołał zgromadzenie we wsi Milówce, w siedlisku najzagorzalszych swych zwolenników. Pomimo, iż zebranie odbyło się w domu stojałowczyka i z udziałem samych członków stronnictwa chrześciańsko-ludowego, pomimo, że Stojałowski używał najsprytniejszych wybiegów, po jego mowie nie padł ani jeden oklask, nie rozległ się ani jeden okrzyk zadowolenia. Czując, co się święci, Stojałowski zażądał aby postanowienie, pochwalające przystąpienie posłów-stojałowczyków do Koła, było przyjęte bez rozpraw. Nie udało się to jednak, gdyż obecny na tem zgromadzeniu robotnik Packar ostro uderzył na zdradę Stojałowskiego, wytłómaczył chłopom całą doniosłość zlania się klubu stojałowczyków z Kołem, a w końcu zaś wyliczył całą litanię grzechów ks. prałata. Jeszcze przed rokiem stojałowczycy nie pozwoliliby takiemu mówcy zabrać głosu bezkarnie na swem zgromadzeniu, obecnie słuchali go nadzwyczaj życzliwie i kiedy Stojałowski znowu zabrał głos, chłopi nie chcieli go już wcale słuchać i poczęli tłumnie opuszczać izbę. Zgromadzenie skończyło się klęską zupełną mówcy. Podobnież niefortunnem było wystąpienie księdza Stojałowskiego w Jarosławiu, gdzie chłopi z oburzeniem przyjęli jego mowę.

Z tych sporadycznych objawów niepodobna jeszcze wnosić, jakoby gwiazda Stojałowskiego ostatecznie chyliła się ku upadkowi, ale, bądź co bądź, objawy te świadczą o wzmagającej się świadomości ludu, nie idącego już tak łatwo, jak dawniej, na lep frazeologii demagogicznej. Wynik to niezmordowanej pracy ludowych stronnictw opozycyjnych, a w znacznej części i ogólnego podniesienia się poziomu oświaty mas ludowych.

Co prawda ostatni ten proces rozwija się bardzo powoli w Galicyi. Jest ona jak dawniej wciąż jeszcze krajem analfabetów i nie tak prędko nim być przestanie. Świeżo ogłoszone wyniki ostatniego spisu ludności w Galicyi (z dnia 31 grudnia r. 1900) zaznaczają wprost mikroskopijne zmniejszenie się cyfry analfabetów. W r. 1890 było ich 4,876,614 na 6,607,816 ogółu ludności, dziś jest 4,660,416 na 7,317,023 ludności. A więc corocznie ubywa niespełna 1% analfabetów. Gdyby wszystko szło tak dalej, jak dotychczas, to byśmy się pozbyli analfabetyzmu nie wcześniej jak po latach... 63. Przytem należy zaznaczyć, że na zmniejszenie się liczby analfabetów wpływa nietylko rozwój oświaty, ale — wymieranie starszego pokolenia, które nie korzystało wcale z dobrodziejstwa nauki szkolnej i wychodźtwo ogarniające głównie ludność chłopską.

Wobec tak smutnych stosunków, wobec braków szkolnictwa ludowego, na szczere uznanie zasługuje wszelki objaw inicyatywy prywatnej usiłującej zmniejszyć analfabetyzm. „Towarzystwo szkoły ludowej," istniejące zaledwie od lat dziesięciu i rozporządzające minimalnymi środkami pieniężnymi, jest najsympatyczniejszą intsytucyą tego rodzaju.

Ostatnie sprawozdanie Zarządu tego towarzystwa zawiera garść bardzo ciekawych szczegółów, z którymi warto zapoznać się bliżej. Oto członków „Towarzystwo szkoły ludowej" posiada obecnie

*) Piąty poseł — Kubik — stanowczo zerwał ze Stojałowskim i wszedł do klubu ludowców.

---

kiem, a obok szparagi, które ty możesz zjadać całe — ja zaś zwykle odgryzam w połowie. — A tu, na stronie, położyłam krem, ale go nie jedz teraz, razem z sałatą, tylko na końcu, kiedy zjesz wszystko inne.

On słuchał z uwagą i przejęciem, oblizując palce co chwila i chrupiąc, kości kurczęcia wraz z farszem. Zawartość salaterki ginęła szybko, co zdawało się cieszyć dziewczynkę.

Kiedy już skończył, patrzała na niego figlarnie, przebierając rączkami pod fartuszkiem.

— Nie głodnyś?

— O, nie!—zaprzeczył z przejęciem.

— Mam ja tu coś jeszcze dla ciebie — dodała dziewczynka, wyjmując z pod fartuszka trzy gruszki, kilkanaście migdałów w łupinach i kilka smakowitych cukierków.

— Jedz-że!—zachęcała go, układając te specyały na ławeczce.

On po raz może pierwszy w życiu zaczął się wymawiać zupełną sytością, więc Iza zawinęła to wszystko we własną chusteczkę do nosa i podała mu zawiniątko ze słowami:

— Więc zachowaj sobie na później.

Antek skwapliwie ukrył podarek w zanadrzu i gotów do natychmiastowej roboty zerwał się, aby biedz po rydel.

Wrócił po chwili i podług wskazówek dziewczynki zaczął kopać dół na trawniku przy ścieżce.

Kiedy już był dość głęboki i należycie wyrównany, zaczęli się naradzać, czy wrzucić tam Rampa bez podściółki, czy też naprzód liśćmi i kwiatami ziemię okryć, jak niemniej w jaki sposób spuścić psa do dołu.

— Wezmę go za łeb i nogi i układę pomału—zaproponował Antek.

— Nie będziesz się bał?

— A czegóż? przecie już nieżywy.

Dziewczynka jeszcze się wahała, bo chodziło jej o konieczny w takich razach ceremoniał, zgodziła się jednak po namyśle, żądając tylko, aby ułożył psa grzbietem, a nie nogami do góry.

— A cóż z tem zrobimy, panienko? — spytał chłopiec, wskazując na bogatą i ozdobną obrożę psa.

— Możesz zakopać, już nie chcę nadal psów do zabawy—odparła Iza, robiąc ręką ruch obojętnej niechęci.

Antek się zawahał. Pozłacana obroża, podszyta ponsowym aksamitem, świeciła w jego oczach, jak klejnot prawdziwy, więc szkoda mu jej było,

— Albo weź sobie na pamiątkę!—poprawiła się dziewczynka, widząc jego wahanie.

Musiała ona jeszcze pokazywać gałązką, gdzie ma pocisnąć sprężynę, aby obrożę otworzyć, potem bez żalu już patrzyła, jak chłopiec złożył psa w dole, zasypał ziemią, a powstałe na miejscu małe wzgórze nakrył zdjętym uprzednio kawałkiem darni.

— Łatwo można będzie miejsce rozpoznać—powiedziała niby sobie i Antkowi na pociechę.

Wołanie Angielki dało się słyszeć od strony domu.

— Posiedź tu w ogrodzie do wieczora, ale nic nie rób—upominała go na pożegnanie.

Antek siadł pod krzakiem bzu, trochę myślał jeszcze o dobroci panienki, a w końcu... zasnął, wygodnie rozkładając się na zielonej murawie.

Iza łatwo zapomniała o stracie Rampa. Była to rozpieszczona jedynaczka z drugiego małżeństwa dziedziczki Rozdolnej, kobiety już niemłodej, bogatej i wiecznie smutnej.

Od kolebki prawie do dziewiątego roku życia miała bonę, Niemkę, której głównem zadaniem było wszczepić w dziewczynkę zamiłowanie rządności i pracowitego zapełnienia dnia całego. Od pół roku zaś dostała Angielkę, ta miała czuwać nad wzrostem i rozwojem głównie fizycznym wychowanki, od piętnastego zaś roku miano jej dać Francuzkę, dla dokończenia wychowania. Taki system ułożyła matka, aby przyswoić ukochanej córce zalety poszczególnych trzech narodowości.

Nauka języków, rzecz prosta, szła prawie bez trudu, do innych przedmiotów była już niemłoda nauczycielka Polka, która zwykle dotrzymywała towarzystwa pani domu, a do muzyki i śpiewu zasłużony weteran, metr muzyki, szukający na wsi ratunku dla swych zbolałych piersi.

14,000, a oddziały Towarzystwa, czyli t. z. koła, znajdują się w 76 miejscowościach od Białej aż po Kossów w Galicyi tudzież na Bukowinie, na Śląsku Cieszyńskim i na Morawach (Ostrawa Morawska). Niektóre miasta posiadają po dwa lub nawet po cztery koła, jak Kraków i Lwów.

Towarzystwo utrzymywało w ubiegłym roku szkolnym 10 szkół ludowych: w Białej, na pograniczu śląskiem, gdzie ludność polska wystawiona jest na germanizacyę (370 dzieci w 5 klasach, 8 oddziałach; roczny koszt utrzymania około 30,000 koron); w Tomaszowcach pow. Kałuskim dwie szkoły (362 uczniów i uczenic), w Delejowie (102 dzieci); w Dolhej Wojniłowskiej (97); w Łukowcu Wiśniowieckim (167); w Świętym Józefie pod Kołomyją (252); w Świętym Stanisławie i Ulacku (75); w Hołoskowie (116); w Majdanie Granicznym (182). Nowych sześć szkół, przeważnie w koloniach polskich Wschodniej Galicyi, jak dotychczasowe, zacznie działać już w roku bieżącym. Po za tem Towarzystwo utrzymuje 13 szkół dla dorosłych analfabetów; w tych szkołach roku ubiegłego pobierało naukę około 600 osób. Oprócz tych dwóch głównych, naistotniejszych swych zadań, Towarzystwo spełniało jeszcze trzecie, zakładając i utrzymując wypożyczalnie książek w 120 miejscowościach. Ogólna liczba książek w tych bibliotekach doszła do 82,000. W roku ubiegłym korzystało z nich przeszło 32,000 osób. Ale i na tem jeszcze nie koniec działalności Towarzystwa. Udzielało ono ubogim gminom licznych zasiłków na budowę szkół, zaopatrywało dziatwę szkolną w ciepłą odzież, przybory szkolne, a częstokroć dawało jej i ciepłą strawę.

Naturalnie, że cała działalność Towarzystwa jest czemś niezmiernie słabem i niewystarczającem wobec 63% analfabetów, ale, gdybyśmy tej działalności nie mieli, setki dzieci polskich byłyby skazane na niechybne utonięcie w otaczającem je obcem morzu...

Daleki.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Pisma akcyjne.

Gdyby ludzie wszędzie i zawsze robili to wszystko, co im jeszcze wolno, odróżnienie kłamstwa od prawdy byłoby rzeczą łatwą. Są instytucye, w których twierdzenie powyższe wkrótce się sprawdzi.

Każdemu, np. kataryniarzowi wolno zabierać głos w sprawie muzyki klasycznej; jeżeli tego nie robi, to nie z braku kwalifikacyj, lecz — pieniędzy. Mając gotówkę, mógł on nabyć akcye Filharmonii, uczęszczać na zebrania akcyonaryuszów i szczerze dopominać się o Offenbacha. Kto obecnie ma zbywający grosz. może jutro wpływać skutecznie na treść paru pism warszawskich, które uzyskały zatwierdzenie w charakterze towarzystw akcyjnych.

Pierwszy lepszy właściciel lombardu może stawiać w organach powyższych swe wnioski, skoro nabędzie ilość akcyj, pozwalającą na poruszenie językiem Kiedyś, na ogólnych zebraniach, odpowiednio dobrana większość członków uchwali konieczność poważniejszego traktowania totalizatora, gdyż taki temat ogromnie zwiększa liczbę prenumeratorów i podwyższa dywidendę. Również możliwym jest w niedalekiej przyszłości taki punkt protokółu zebrań akcyonaryuszów:

„Polecić redakcyi, żeby mniej sucho i dokładniej traktowała morderstwa i oszustwa, gdyż ludzie „dyskretnych wzmianek“ czytać nie chcą.“

Stworzy się dla wyroków opinii publicznej osobna ława przysięgłych, którzy, dobrawszy się szczęśliwie, mogą zawsze usprawiedliwić grzechy swoich współwyznawców.

Odtąd owe pisma będą musiały mówić prawdę, a wszystkie dotychczasowe odezwy i prospekty pozbędą się kłamstwa przekonaniowego, gdyż będą ujęte w paragrafy ustawy. Gdy o „wpływie“ pisma na społeczeństwo będą decydowały księgi handlowe, wówczas obałamucanie czytelników przez redakcyę stanie się z konieczności karygodnem. Doprawdy, są jeszcze w prasie przedsiębiorstwa, które zyskałyby ogromnie na tem przekształceniu. Ustałby krzyk kolporterski, a społeczeństwo przemówiłoby nareszcie własnym językiem — wypowiedziałoby się.

Czy tylko dywidenda w dziedzinie naszej prasy wszędzie dopisze? *T. U.*

Towarzystwa akcyjne

Przemysł nasz w znacznej części nie jest wykwitem ekonomicznego rozwoju społeczeństwa, lecz sztuczną latoroślą, wyhodowaną na naszym organizmie i bardzo słabo z nim złączoną. Potwierdzenie tego zjawiska znajdujemy w historyi zakładania naszych towarzystw.

Prawie żadne z nich nie powstawało i nie powstaje do dziś dnia, normalnie. Jeszcze w 8-ym dziesiątku towarzystwa rodziły się na gruzach przedsiebiorstw chybionych lub chylących się do upadku. Wymienimy naprzykład Towarzystwo Akcyjne Lilpop Rau i Loewenstein i Towarzystwo Akcyjne Warszawskiej fabryki maszyn, narzędzi rolniczych i odlewów (dziś już nieistniejące). Założenie tego ostatniego było niejako typowem i w te ślady—choć może mniej uczciwie—poszło *conajmniej* $^{9}/_{10}$ naszych towarzystw z wyjątkiem chyba, kwitnących naówczas, cukrowni. Istniała firma prywatna, której interesy źle szły. Zwołała wtedy wierzycieli i zaproponowała, by w stosunku do rozmiarów swych należności stali się wspólnikami (udziałowymi) firmy. Ze wspólki tej udziałowej „Warszawska fabryka maszyn i narzędzi rolniczych“ przeszła na towarzystwo akcyjne — które istniało pomyślnie lat kilka wskutek dostaw wojskowych podczas wojny rosyjsko-tureckiej i ostatecznie zlikwidować musiało. Nie lepiej się powiodło Towarzystwu Lilpop Rau i Loewenstein. kurs akcyi 1000 rublowych stał 80 rubli. Przetrzymało jednak złe lata i stało się punktem kulminacyjnym orgii spekulacyjno-giełdowej...

Dziewiąty dziesiątek zeszłego wieku (1891—1890) niewiele stworzył nowych towarzystw, opartych na typach powyższych—ostatnie dziesięciolecie (1891—1900)

Iza dziecko, w gruncie dobre, przywiązywała się szczerze i serdecznie do wszystkiego w otoczeniu swego światka. Kochała Niemkę i pożegnała ją łzami, ale Angielka usunęła z jej pamięci wspomnienie nieobecnej, to samo w przyszłości, czekało Angielkę, którą miała zastąpić Francuzka. Dziecię znało fantazye i chwilowe pragnienia, ale nie znało jeszcze tęsknoty lub długiego żalu.

Każda z nauczycielek podsuwała Izie swoje słabostki, ten sposób dogadzając sobie, Niemka zachwycała się zmyślnością małp, więc parę tych zwierzątek sprowadzono dla Izy. Nazwała je Gretchen i Ketchen, a trudno było tłómaczyć dziecku, że różna płeć zwierząt wymagała i różnicy w imionach.

Było wiele uciechy z małpkami, a najwięcej cieszyła się Niemka.

Wszakże coś po roku psy podwórzowe rozszarpały niebaczną Ketchen, a czuły Gretchen zdechł wkrótce z żalu po stracie małżonki.

Niemka rzewnemi łzami oblała te smutne wypadki, a Iza wyśmiewała się z niej potrosze.

Angielka pozyskała dziewczynkę dla rasowych buldogów, więc sprowadzono parę szczeniąt z Anglii za cenę pary dobrych koni powozowych. Byli to Wamp i Ramp. Zapoznana w swej samiczej godności Wamp jeszcze przed dojściem do wieku dojrzałego zginęła przypadkiem w nurtach Narwii, a Ramp także oto niespodziewanie padł ofiarą jednej maleńkiej pszczoły, która zapuściła mu żądło w czułe nozdrza.

Angielka piorunowała na lud polski, nie umiejący uszanować buldogów czystej krwi i żałośnie głosiła pochwały nieboszczyka, ale dziewczynka słuchała obojętnie.

W jej główce rodziła się pierwsza samodzielna fantazya: ażeby wziąć sobie tego Antka do zabawy, jak brała dotąd małpy, psy, króliki, białe myszy, papugi i mnóstwo innych istot.

Chłopiec był niewątpliwie sprytniejszy od nich wszystkich, więc obiecywał więcej i bardziej urozmaiconych rozrywek. Znała go już przecie z tego, jak na jej rozkaz zabijał prawie każdą wronę z dala rzucając kamieniem, jak ochoczo i zręcznie wdzierał się na szczyt najwyższej sosny lub topoli, jak szybko łapał raki w jeziorze rękami, sięgając do nor nad brzegami, słowem we wszystkiem odznaczał się wielką odwagą i sprytem.

Postanowiła prosić matkę natychmiast o darowanie sobie Antka, lecz z zastrzeżeniem, aby odtąd bywał lepiej ubrany, gdyż widziała u niego dziury w spodniach na kolanach, koszula na łokciach była zwykle podarta.

Pani Calińska znalazła się w niemałym kłopocie, kiedy ukochana jedynaczka wśród pieszczot i uścisków wypowiedziała swoją prośbę; zrazu nawet zabolało ją to, jako coś przeciwmoralnego, ale wnet jasne, dziecinne spojrzenie Izy rozbroiło ją i uspokoiło.

— Dobrze, dziecię, weźmiemy tego Antka na służbę do dworu, ale pytanie, czy jego matka zgodzi się na to.

— Mateczko! tylko nie na służbę do dworu, ja chcę, żeby on był mój, żebym go miała zawsze pod ręką.

Matka zgromiła pieszczochę za tę chęć zrobienia sobie z chłopca zabawki równej małpom, psom itp. poprzednikom, lecz w końcu musiała się zgodzić, aby Antek był oddany pod rozkazy jedynaczki i powierzony opiece starego ogrodnika.

Uradowane dziecię chciało biedz natychmiast i zawiadomić chłopca o tem postanowieniu, lecz matka sprzeciwiła się temu, obiecując, że ekonom Pękalski zaraz nazajutrz tę sprawę załatwi.

Antek spał sobie pod krzakiem w ukryciu, przybierając coraz to inne pozy w miarę zdrętwienia członków lub niedyskrecyi promieni słonecznych. Obudził się wtedy dopiero, gdy uczuł chłód rosy wieczornej. Słońce już zaszło, a za gumniskiem widniały jeno złotawo-fioletowe jego odblaski, które zwolna rozpływały się w pomroce wieczoru. Lekki ból w nodze wrócił mu pamięć niedawnych wypadków, więc sięgnął w zanadrze, aby sprawdzić, czy węzełek i obroża są na swojem miejscu.

Nie czuł jeszcze głodu, a więc nie pędziło do chaty, jak to działo się zwykle. Dźwignął się atoli i, obszukawszy starą sukmanę pod płotem, poszedł do domu, gdyż przypomniał sobie o jutrzejszej nie-

przyniosło nam setki towarzystw spekulacyjnych, liczących na cła ochronne, kapitały zagraniczne i grę giełdową. Bankruci wyśrubowywali stan czynny swoich fabryk do maximum, za resztki kredytu i gotówki wystarali się o zatwierdzenie swych ustaw. Samotrzask dla łatwowiernych, a żądnych zbogacenia się, był gotów. Przyznać trzeba, że niektórym, gryndorom te sidła nadspodzianie udawały się wskutek wyjątkowo kompletnych dostaw i powiększonego kredytu lub najczęściej udziału zagranicy, lecz niektórzy bardzo prędko upadli, większość jednakże pędzi dotychczas swój mizerny żywot nad brzegiem bankructwa, po to, by się łudzić nadzieją nowych spekulacyj, która im kilka lat temu napędziła pieniędzy, wyczerpujących się obecnie.

Czyż dziwnem jest, iż w ostatniem dziesięcioleciu wieku ubiegłego wykazywano wysoki stan czynny dla sprzedaży akcyj, wysokie dywidendy dla zbycia pozostałych i utrzymania spekulacyi? że gdy czynnik tego sztucznego rozwoju — kredyt, począł zwężać swój strumień odżywczy, pojawiły się bilanse rozwodnione? Można prawie jako pewnik postawić, iż firmy prywatne przechodziły na towarzystwa, gnane obawą bankructwa, nadzieją poprawy swego stanu przez kredyt lub sprzedaż akcyj.

Obroty giełdowe w latach 1895—97 podtrzymywały te złudzenia, lecz jesteśmy zbyt ubodzy i na utrzymanie gryndorstwa i spekulacyi nieprzygotowani. Nastąpiła reakcya, która trwa od lat kilku bez zmiany na lepsze, przeciwnie coraz niżej a niżej spadają akcye, coraz gorsze są horoskopy na przyszłość. Cukrownie zamykają sprawozdania roczne stratami. Przemysł tkacki gnie się wskutek osłabionego przez głód i wojnę odbytu na wschód. Cementownie, pomimo syndykatu, cierpią na nadprodukcyę. Gdy syndykat się rozchwieje, ceny spadną, małe fabryki zbankrutują; gdy przeciwnie syndykat się utrzyma, ceny wzrosną, lecz produkcya musi być zmniejszoną. Dawni dystylatorzy wkładają swe znaczne gotówki do naszego przemysłu i z niepokojem widzą, iż ten okrzyczany przemysł nie zwraca nawet tych odsetek, jakieby mu przyniosły listy zastawne. Przemysł żelazny odczuwa brak zbytu, nizkie ceny, a tymczasem z zagranicy — pomimo cła — przychodzą miliony pudów produktu pod postacią maszyn. W 1899 i 1900 latach przywieziono 11,016 i 8120 pudów maszyn do państwa rosyjskiego przez granice zachodnie!

To jest ten wielki przemysł krajowy, oparty na sztucznych akcyach, jako kapitale własnym, na kredycie—jako kapitale obrotowym, na zmiennem cle ochronnem i w końcu zmuszony walczyć ze współzawodnictwem i doskonałością przemysłu zagranicznego. *Ed. D.*

Samoreklama.

Niektóre pisma warszawskie, jak owe boginie greckie w pogoni za pięknym młodzieńcem, „biorą się na sposoby,“ gdy idzie o zdobycie kilku dziesiątków nowych abonentów. Świadczy o tem chociażby owa do śmieszności doprowadzona samoreklama, uprawiana od pewnego czasu przez te nawet organy naszej prasy, które od niedawna miały — niekiedy nawet uzasadnioną pretensyę do taktu, powagi i owej ważnej umiejętności zachowania właściwej miary w różnych sprawach życiowych, a zwłaszcza—w wychwalaniu samego siebie.

Znudziły dodawane przez redakcye darmo lub nawet—z dopłatą z ich strony atlasy, mapy, dzieła naukowe i śmiecie beletrystyczne, „prawie złote“ zegarki lub garnitury sztucznych zębów; sprzykrzyły się wyprawy do Brazylii, podwójne wydania (naturalnie w kilku dziesiątkach tysięcy egzemplarzy), portrety Skublińskiej z wąsami i bez wąsów, wywiady, kwestyonaryusze itp. „konkursy stulecia i cnoty.“ Na szczęście, Lublin urządził ciekawą i pouczającą wystawę rolniczo-przemysłową, która też stała się odrazu dla naszych „poczytnych“ i „dobrze poinformowanych“ nowem polem pościgu za biednym prenumeratorem, przypominającym często owego szaraka z bajki, „co nieraz bywał w kłopotach i trwogach...“

Więc—o dziwy!—teatry ogródkowe zeszły na plan dalszy, o popisach uczniów szkoły dykcyi i deklamacyi wspomniano ledwie półgębkiem; niby wójt w karczmie błogosławionej pamięci — wystawa rozparła się szeroko na łamach czasopism, uszczuplając nawet miejsca telegramom „własnym“ i rozmowom fejletonistów z nawiedzającymi ich stale, jak *febris niemacopisalis*, gośćmi z Chin, Afryki, Stanów Zjednoczonych lub co najmniej—Pacanowa.

I byłoby to może naturalne i pożyteczne nie budziłoby nawet niesmaku, gdyby w tem wszystkiem trochę mniej czuć się dawało przesady i blagi. gdyby szło naprawdę o istotny pożytek ogółu, lub gdyby chociaż cel rzeczywisty umiano ukryć nieco zręczniej. Te wszystkie własne kioski i telegramy, wtykanie gwałtem numerów gazet i walki konkurencyjne przybranych w liberye redakcyjne chłopców, cały ten krzyk ogłuszający i ciągłe wysuwanie naprzód swych kramików tandeciarskich — wywierają przedewszystkiem wrażenie polowania *par force* na nieszczęsnego przedpłatnika, który może przybył na wystawę w jakimś poważniejszym zamiarze, niż udział w takiej zabawie.

Pocieszmy się jednak nadzieją, iż do przyszłej wystawy w Lublinie pisma nasze nabiorą takiej wprawy w samoreklamie, że ją uczynią zręczniejszą, mniej przypominającą dzielnicę Nalewkowską, a przez to może nawet skuteczniejszą.

J. A. M.

Martwe ogniska.

Nasze miasta prowincyonalne miewają co kilka lat uroczyste chwile, kiedy krew zaczyna prędzej krążyć w ich żyłach, kiedy, przybrane w szaty świąteczne, przyciągają pozorami wszechstronnego życia i gromadzą w swych wyświeżonych umyślnie murach mnóstwo ciekawych i zainteresowanych, przybywających nieraz ze stron dalekich. Powody do takich uroczystości nastręczają wyjątkowe wypadki w rodzaju—pogrzebu biskupa, jubileuszu jakiegoś kościoła lub wreszcie, jak obecnie w Lublinie, wystawy prowincyonalnej.

Ale w warunkach zwyczajnych nasze Radomie, Kielce, Płocki i Piotrkowy, mimo zaczątków życia przemysłowego, które tu i owdzie dostrzedz się dają, robią wrażenie martwych, wygasłych ognisk, w których gdzieś głęboko ukrywają się może jakieś resztki żaru, lecz na zewnątrz oko niewtajemniczonego widza z trudnością dostrzedz je może.

Co przedewszystkiem niemile uderza gościa, przybywającego u nas do miasta, dajmy na to, gubernialnego, z jakiegoś kulturalniejszego środowiska, to zupełny brak objawów poważniejszego życia umy-

---

dzieli, w oczekiwaniu której matka kazała zwykle drew narąbać i wody nanosić.

A w chacie Józefowej już od pół godziny było gwarno i wesoło. Nie brakowało nikogo, gdyż organista z sołtysem przyszli razem, a karbowy wystroił się w nową kamizelę i buty, nie uważając jednak za właściwe brać czystej koszuli w dzień sobotni.

Na stole czysto umytym stała flaszka wódki, rynienka z świeżo usmażoną kiełbasą, miska z jajecznicą i bochen chleba.

Wdowa, również odświętnie przybrana, dmuchała pod piecem w blaszany samowar, o którym nie powinna była zapomnieć z uwagi na organistę.

Na twarzach organisty i karbowego widniało niejakie zakłopotanie, gdyż należało już zacząć to niby swatostwo, a trudno z tem było, gdyż od początku z pośpiechu przepomniano o wielu wstępnych ceregielach.

Józefowa również przedłużała pod piecem czynność dmuchania, nie chcąc zbliżać się do stołu i, oczekując jakiegoś ośmielenia.

— Na co mię mają ludzie obnosić, żem sobie chłopa łapała!— rozmyślała w duchu.

Przez drzwi chaty wszedł śmiało Antek, o którym tu prawie już zapomniano. Jego widok zajął uwagę wszystkich i podniecił działalność.

Matka błysnęła złemi oczyma i zwróciła się zaraz ze słowami:

— A gdzież to chodzisz, wałkoniu, kiedy już inni dawno wrócili z roboty?

Chłopiec ani myślał się usprawiedliwiać, bo takie przemówienie matki nie było dla niego nowością.

— Pójdźże tu, synku!—wezwała go, idąc ku stołowi.

Antek się zbliżył bez wahania, a matka wnet obu rękami chwyciła go za włosy i usiłowała schylić ku ziemi, gdyż wzrostem ją prawie przenosił!

Karbowy z laskowym swym kijkiem przyskoczył skwapliwie i zaczął chłopca bez litości okładać, wrzeszcząc:

— A masz-że! a masz!

Chłopiec zrazu szarpnął się, ale trzymany silnie za włosy, tylko powlókł matkę za sobą na środek izby i krzykiem rozpaczliwym wypełnił wnętrze chaty.

Karbowy walił bez wytchnienia, miarowo oddychając i hucząc:

— He! he!

Sołtys, jak mu wypadało z powagi i kumostwa, nie mógł pozostać widzem bezczynnym. Zdjął tedy z siebie gruby rzemień i, złożywszy go we dwoje, stanął z drugiej strony chłopca. Czas jakiś chwytał tempo właściwe, zwolna uderzając rzemieniem po ławie, aż wreszcie lunął po grzbiecie Antkowym. Bili już teraz zgodnie, jak dwaj młockowie na klepisku, sięgając chłopcu od łopatek aż do kolan raz przy razie, znacząc pasy i szramy na ciele.

Józefowa krzykiem i szlochaniem pomagała już synowi, który się w końcu zwalił na ziemię i wił w kurczach bolesnych, z jękiem i piskiem.

Kijek karbowego splątał się wreszcie z rzemieniem sołtysa i to ostudziło gorliwych. Obaj odeszli na stronę, głośno sapiąc i rękawami pot kroplisty ocierając.

Wtedy zbliżył się organista i za szy podniósł Antka z ziemi.

— A widzisz, huncwocie, nie na to ci Pan Bóg dał siłę, byś jej na dworskiem zwierzęciu aż do zabicia próbował. Masz oto dziś chrzest już drugi w życiu, więc się popraw dla łaski bożej i radości matczynej.

Antek, ledwie stojąc na nogach, błędnemi oczyma wodził dokoła, bacząc jeno, czy który z oprawców nie zbliża się do niego ponownie.

Puszczono go nareszcie, więc dowlókł się do drzwi i wyszedł przed chatę, a potem wprost przed siebie, mimo karczmy, nad brzeg Narwi, widnej zdala niby srebrzysta smuga.

Józefowa otarła oczy fartuchem i z rozczuleniem spoglądała na karbowego, który tak wyraźnie złożył dowody przejęcia się przyszłymi obowiązkami ojca przybranego.

C. d. n.

słowego, wszystkiego tego, co świadczy, że jednak i tu, na prowincyi, są ludzie, którzy czegoś pragną, do czegoś dążą, coś ukochali... Napróżno szukalibyśmy tu w ogrodach lub na placach publicznych pomników ludzi, dla miasta i prowincyi zasłużonych; wielkie oczy zrobiłby na nas przechodzień, gdybyśmy go zapytali o drogę do muzeum miejskiego lub jakiejś biblioteki publicznej; z odczytem poważniejszym można się czasem spotkać, gdy prelegent — przyjedzie z Warszawy. Na miejscu mamy tylko wintującą resursę, wintujące zebrania towarzyskie, lichą trupę aktorów przejezdnych i — w najlepszym razie — w długich dosyć odstępach czasu, jakieś amatorskie popisy muzyczne lub dramatyczne.

A jednak — powiedziałby poeta — i tu by mogły wzrastać życia kwiaty, i tuby mogły płonąć święte znicze — gdyby tylko wykrzesać się dało nieco energii, przedsiębiorczości i inicyatywy z dusz jednych, nieco dobrej woli, poczucia obowiązku i wiary w siebie — z innych. Gdzież jednak szukać tak potężnych miechów, któreby zdołały rozżarzyć i rozdmuchać te wszystkie martwe ogniska?

wb.

Lekarz szkolny.

Ze smutnego doświadczenia wiemy wszyscy, czem są u nas w większości wypadków t. zw. lekarze szkolni. Pobierając od szkoły śmiesznie małe wynagrodzenie, nie poczuwają się oni względem niej do żadnych prawie obowiązków. Co najwyżej ukażą się w gmachu szkolnym trzy lub cztery razy w ciągu roku, a przed egzaminami wypiszą na gotowych blankietach szereg świadectw; powiększają sobie w ten sposób niewielki dochód ze skromnej synekurki, za jaką uważają zazwyczaj mało płatną posadę lekarza szkolnego

Bardzo pożądaną próbę odstąpienia od tego szablonu, jak zresztą i od kilku innych szablonów pedagogiki szkolnej, zrobiła istniejąca od roku w Warszawie siedmioklasowa szkoła handlowa męska. Zaczęła ona od uposażenia swego lekarza w taki sposób, że daje mu to możność, bez oglądania się na dochody z innych źródeł, poświęcać kilka godzin dziennie sprawie szkoły, którą odwiedza stale w godzinach wykładowych, mając przytem obowiązek i prawo uczestniczenia w posiedzeniach rady pedagogicznej, z głosem doradczym lub decydującym w niektórych sprawach. Na stanowisko to przytem szkoła powołała lekarza młodego, pełnego dobrych chęci i energii, pojmującego zadanie swoje w sposób racyonalny, a więc dążącego przedewszystkiem z zapałem do zapobiegania chorobom i zboczeniom patalogicznym uczniów, a pozostawiającego właściwe leczenie ich—specyalistom.

Świeżo właśnie dr. St. Kopczyński wydał broszurę w której zapoznaje ogół interesujący się sprawami wychowawczemi, ze stanem zdrowia uczniów szkoły pozostającej pod jego opieką lekarską i z wynikami swej pracy nad kształcącą się w niej młodzieżą. Jednoroczny okres czasu i względnie niewielka liczba jednostek, poddanych badaniu (szkoła miała w pierwszym roku istnienia tylko cztery niższe klasy i liczyła 362 uczniów, nie więcej, niż po 40 w klasie) nie pozwalają na razie z zebranych cyfr i zestawień wyprowadzić dalej sięgających wniosków, lecz badania takie, gdyby zwłaszcza dokonywane były w większej liczbie zakładów naukowych, mogłyby mieć niewątpliwie znaczenie doniosłe, i dlatego dobry początek, zrobiony przez dr. Kopczyńskiego, zasługuje ze wszech miar na uznanie.

W jedenastu tablicach podaje on nam dane, dotyczące liczby i wieku uczniów w każdej klasie, ogólnej budowy i stanu odżywiania ciała, jego długości i jej przyrostu rocznego, wagi ciała i jej przyrostu, obwodu klatki piersiowej, siły mięśniowej, zaburzeń w organach wzroku, słuchu i paru innych kwestyj! Na uwagę zasługują zwłaszcza te miejsca broszury, w których młody lekarz mówi nam o swym stosunku do młodzieży, o obudzeniu w niej zamiłowania do czystości ciała, o zajmowaniu odpowiednich miejsc w klasie, o odpowiednim przewietrzaniu sal szkolnych, o właściwem trzymaniu się na lekcyach rysunków i kaligrafii i wogóle przy robotach piśmiennych, o rozpowszechnionej wreszcie wśród młodzieży pladze samogwałtu, z którą walczył energicznie i skutecznie.

Gorąco też podzielić musimy pragnienie dr. Kopczyńskiego, by praca jego zachęciła innych lekarzy szkolnych do działalności w tym samym zakresie, w myśl poglądu hygienisty francuskiego, że rozpowszechnianie hygieny w szkole i przed szkołą jest jednem z najszczytniejszych zadań, jakie wiek XIX przekazał w spadku do rozwiązania wiekowi XX.

B.

BADANIA NAUKOWE.

TEORYA POZNANIA ZJAWISK GOSPODARCZYCH.

II.

Wracając do zasadniczej myśli dr. Grabskiego — i przechodząc do krytyki, musimy mu przedewszystkiem zarzucić zdumiewająco rzeczywiście słabą krytykę idei klasowości, tem dziwniejszą wobec tak słusznego w tej materyi zdania, że „walka klas jest w gruncie rzeczy nie tyle walką o władzę i przywileje, ile o sposób pojmowania dobra ogólnego, i że przeciwieństwa klasowe kojarzą się wciąż ze świadomością ogólno-narodową.“ Prawdą też jest, że walka o pojmowanie dobra ogółu i danej klasy toczy się też w łonie każdej klasy, między różnymi jej poddziałami i grupami: ależ istota „uklasowienia“ społeczeństwa polega na tem, że z owej walki wytwarza się w łonie każdej klasy pewien wspólny kierunek „oceny dóbr,“ pewne przeciętne pojmowanie dobra społecznego, podobne do takiegoż pojmowania w łonie odpowiedniej klasy innych narodów, gdy tymczasem narodowego jednolitego pojmowania dobra ogółu, przeciwstawiającego się pojmowaniom innych narodów, właściwie niema... Twierdzenie, że klasy niższe wierzyły zawsze w prawomocność istniejącego ustroju, dopóki wiary tej nie odebrały im same klasy wyższe, o ile jest słusznem, świadczy tylko o mniej lub więcej przymusowem zapanowaniu jednego z walczących sposobów pojmowania dobra ogólnego; ale w swej bezwzględności jest niezgodne z prawdą historyczną. Kto bowiem pisze, że Rewolucyę francuską wywołały dekrety Turgota, ten zapomina o tem, co działo się w umysłach chłopów współczesnych, o żyjącem w ich świadomości przewrotowo-retrospekcyjnem prawie do serwitutów i dawnych gruntów gminnych, zagarniętych na podstawie dokumentów, z którymi razem wybuchające współcześnie z nocą 4 sierpnia żakieryc paliły lamusy szlacheckie. A jeśli obecnie „im prędzej rośnie militaryzm i siła kapitału, tem prędzej rozwija się prawodawstwo fabryczne,“ to fakt ten nie jest doprawdy, a przynajmniej w bardzo małym stopniu wynikiem altruizmu klasowego, lecz jest to poprostu — objaw dwustronnego działania jednego i tego samego szeroko pojętego czynnika rozwojowego na dwie różne i mało od siebie zależne sfery życia.

Ta kwestya jednak, jakkolwiek postawienie jej jest dość charakterystyczne, nie odgrywa u dr. Grabskiego wielkiej roli. Ważniejsze daleko i bardziej zasadnicze jest jego dążenie do nadzwyczaj ścisłego i — jak sam powiada (str. 133) — ciasnego ograniczenia zakresu nauki ekonomii publicznej, dla której chce on stworzyć całkiem wyłączny i jej tylko właściwy przedmiot i metodę. Przedmiotem tym są stosunki społeczne, dotyczące dóbr i usług, jako środków zaspakajania potrzeb; są to więc zjawiska czysto duchowe. Zatem, według dr. Grabskiego, do zakresu nauki gospodarstwa publicznego nie należy bynajmniej cała dziedzina gospodarstwa prywatnego, np. wszystko, co chłop, gospodarujący osobiście i samodzielnie, robi u siebie w domu i na gruncie, zanim pójdzie na targ w celu kupna obuwia za część swego zboża, nie należy też całkiem stosunek ludzi nie do ludzi, lecz do samych przedmiotów materyalnych, stosunek dotyczący materyalnych właściwości przedmiotów, a więc — cała technika. Zjawiska techniczne już dlatego nie mogą należeć do zakresu gospodarstwa publicznego, że w inny zupełnie sposób dochodzą do naszej świadomości, niż zjawiska tego ostatniego zakresu: jako akty twórczej i kierowniczej, właśnie indywidualnie gospodarczej woli, a nie jako zewnętrznie nas ograniczające fakty. Uznawanie za przedmiot ekonomii politycznej całkowitego procesu powstawania, obiegu i zużytkowywania bogactw jest błędem, który tylko naraża ekonomistów na sprzeczności; bo w takim razie dlaczego do dzieł swoich i podręczników nie wprowadzają wiadomości z zakresu samej właściwej techniki wytwórczej? Zapewne — mówi dr. Gr. — ogólna znajomość techniki jest potrzebna dla zrozumienia zjawisk gospodarczych: nie możemy ich sobie przedstawić bez warsztatów, fabryk, dróg komunikacyjnych, monety brzęczącej itd. Ale tak samo nie możemy sobie przedstawić muzyki bez klawiatury lub innego instrumentu; a przecież nikt nie powie, że klawisze są częścią składową zjawisk muzycznych. Tak samo kształty naszego ciała nie są czynnikiem małżeństwa, które jest stosunkiem, zjawiskiem czysto społecznem, a więc duchowem. Techniczna czynność nasza jest materyalnym podkładem zjawisk gospodarczych; ale technika tak samo nie powinna być przedmiotem nauki gospodarstwa publicznego, jak fizyologią zmysłów nie zajmują się badania psychologiczne. Bez znajomości techniki z jednej, kultury we wszystkich jej zakresach — z drugiej strony, nie jesteśmy w stanie zrozumieć powstawania i przekształcania się zasadniczych pojęć społeczno-gospodarczych, to prawda; zachodzi między temi dziedzinami ścisły związek. Ale niemniej ścisły związek zachodzi między każdem zjawiskiem fizycznem a zjawiskami mechanicznemi — u podstawy, a prócz tego — biologicznemi, psychicznemi i społecznemi — u szczytu; a przecież fizyka jest ściśle odgraniczoną nauką. Technika i kultura stanowią też właściwie dolną i górną granice gospodarstwa publicznego, jego warunek i następstwo; warunkują zjawiska gospodarcze, ale nie są ani ich częściami składowemi, ani ich czynnikami. Tych szukać trzeba i można tylko w samych zjawiskach gospodarczych również, czyli w życiu duchowem człowieka. I jeśli np. weźmiemy zagadnienie koncentracyi kapitałów, to nie możemy go tłomaczyć, jak Marx chce, za pomocą wyższości technicznej wielkiej produkcyi nad drobną, bo to był czysto bierny warunek, który istniał zawsze, a tylko—zmianą, jaką na przełomie między wiekami średnimi a nowymi zaszła w sposobie oceny dóbr: tem mianowicie, że wskutek utworzenia się państwa narodowego, zniesienia przegród między gminami, rozszerzenia granic kół gospodarujących, moc obowiązującą w umysłach ludzi zdobyła sobie ocena produktów nie podług faktycznych w każdym wypadku,

lecz podług przeciętnych kosztów produkcyi— co stało się też podstawą teoryi wartości Marxa.

W tem wszystkiem rzuca się w oczy silna chęć wyegzorcyzmowania z ekonomii politycznej dyabła — marxizmu. Dowiadujemy się nawet z tego powodu rzeczy równie zdumiewających, jak przy krytyce idei klasowości, np. że Marx wierzył w metafizyczną ideę samorodnej dyalektyki rzeczy *materyalnych* (sic! — str. 132), albo że przeczył temu, aby „instytucye ekonomiczne i dążenia społeczno - polityczne miały swe źródła w naszych ideach i potrzebach“ (str. 69). Co do pierwszego twierdzenia, to mogę je chyba przypisać uwierzeniu na słowo dr. Barthowi, którego interpretacyi w taki sposób wierzyć się nie powinno; źródło drugiego nieporozumienia łatwiej odkryć: pochodzi ono z dowolnego rozszerzenia i przeróbki znanego aforyzmu, że „filozofię trzeba tłomaczyć za pomocą ekonomii, a nie ekonomię za pomocą filozofii.“ Ileż razy jednak powtarzać trzeba będzie, że kierunek ten nie opiera się bynajmniej na jakimś „metafizyczno-materyalistycznym monizmie“ i że zjawiska techniczne są również natury psychicznej!

Ale — powiada dr. Grabski — nie są one natury społecznej, nie są dla ludzi powodem do wstępowania w stosunki społeczno-gospodarcze. Otóż temu zaprzeczyć wypada, bo w stosunki te ludzie wstępują nietylko z gotowym produktem, w celu wymiany, ale i w celu wytwarzania, przyczem pojawia się nawet poczucie pewnej zbiorowej, kierującej woli. Jak sam dr. Gr. pisze, społeczna geneza pojęcia kapitału leży w zróżniczkowaniu społeczeństwa, w wyodrębnieniu klasy nieproducentów-obrońców, wskutek czego interes społeczeństwa wymaga wzmożenia produkcyjności pracy, tak, aby praca jednostki dawała nadwartość. A z czemże mamy tu do czynienia, jeśli nie z faktem społecznej organizacyi produkcyi, zależnym wprost od stanu techniki w danej epoce? Wpływ ten techniki nie da się też w żaden sposób sprowadzić do znaczenia biernego warunku. Przykład płciowości, jako pozaspołecznego warunku, i małżeństwa, jako społecznego faktu, stosunku, jest źle wybrany; biologiczny bowiem fakt płciowości dlatego nie wpływa na formy małżeństwa, że jest dany raz na zawsze i niezmienny. Tymczasem technika zmienia się nieustannie, wpływa na ukształtowanie się społecznego pojęcia wartości, zmianom w szeregu technicznym zwykle towarzyszą zmiany w szeregu „psychicznych zjawisk społecznych.“

Dr. Grabski sam to przecie stwierdza (str. 92—94); tylko chciałby on pomimo to ściśle wyodrębnić te dwie dziedziny, jak psychologia wyodrębniona jest od fizyologii. Ekonomista — pisze on — musi oczywiście zapoznać się z faktami materyalno-technicznymi, jak psycholog z fizyologicznymi, musi tem bardziej, że w zakresie społecznym niema takiej osobnej wyspecyalizowanej nauki pomocniczej, jak fizyologia. Zaznaczamy, że są uczeni, co specyalnie na tem polu pracują; typem ich jest np. taki Levasseur, inżenier, ekonomista, historyk i prawnik, który trzyma czujną rękę na pulsie technicznego właśnie rozwoju i jednocześnie notuje i porównawczo bada zachodzące zmiany w stosunkach społecznych. Gdyby był on jeszcze filozofem i psychologiem, wyniki jego badań byłyby bez wątpienia, o wiele ciekawsze i bogatsze. Ale właśnie dlatego ośmielę się tu wyrazić pogląd, z punktu widzenia, że tak powiem, prywat-docentowskiego może niezbyt „naukowy,“ a mianowicie, że takie ściśle i skrupulatne rozgraniczanie dziedzin różnych nauk społecznych, takie określanie socyologii, jako wyłącznie nauki o formach społecznych, jakiego chce Simmel, ekonomii — jako wyłącznie nauki o formach stosunków gospodarczych, do jakiego zmierza dr. Grabski, pomijając już kwestyę terminologii, mianowicie pewną uzurpacyę nazwy całej nauki przez wyłącznie, że tak powiem, morfologiczną jej część, samo w sobie jest względnie jałowe i może być szkodliwe. Prawda, że mamy tu do czynienia z pewną odrębną kategoryą zjawisk i że serya zjawisk ekonomicznych, noszących piętno organizacyi prawno - społecznej, jest już czemś innem, jak serya czysto-techniczna, co słusznie podkreśla Stammler. Ale i fizyk, który chce odkryć coś nowego, nie przestrzega bynajmniej ścisłej granicy między fizyką, mechaniką i chemią—przykładem genialny Berthelot; ale— i muzyk, szczególnie jeśli ma coś stworzyć, nie może ani na chwilę zapominać o budowie i funkcyonowaniu instrumentów — które zresztą w naturze określają i samo ustosunkowanie tonów... Jeżeli chcemy zrozumieć funkcyonowanie i rozwój społeczeństwa, to nie możemy robić ze stosunków społecznych niejako środkowego piętra budowy, ściśniętego między techniką a kulturą, biernie je tylko warunkującemi. Musimy raczej, jak nam radzi inny, ale konsekwentniejszy „fenomenalista,“ Edward Abramowski, odkrywać i badać nieustanne łączenie się w jednostce, właśnie w jednostce, tych dwóch biegunowych czynników—techniki i kultury—„widyoplastyczny zawiązek“ budowy społeczeństwa. Spodoba się może dr. Grabskiemu nazwać to nie socyologią, lecz filozofią historyi; w każdym razie jest to coś tryskającego życiem, tętniącego krwią, namacalnego — a nie — kraina cieniów.

Wskazaliśmy, na czem polega zdrowe, piękne i płodne jądro myśli dr. Grabskiego—na odkryciu genezy społecznej najogólniejszych, najbardziej zasadniczych społecznych naszych aprioryzmów. Powiedzieliśmy zarazem, że ma to wielkie znaczenie dla socyologii, mniejsze natomiast dla ekonomii właściwej, której nie przestajemy pojmować, jako ogólnej nauki o powstawaniu, obiegu i zużytkowaniu bogactw. Znaczenie „teoryi poznania zjawisk ekonomicznych“ w tym zakresie możemy sobie uprzytomnić na wyżej przytoczonym przykładzie — koncentracyi kapitałów. Dr. Grabski twierdzi, że czynnikiem tego zjawiska, *causa efficiens*, była zmiana w powszechnym sposobie oceny wartości: ocena według przeciętnych, a nie podług poszczególnych kosztów produkcyi, że wogóle — przyczyną taką bywa zmiana w zasadniczych pojęciach ekonomicznych. To jest słuszne najzupełniej. Tylko — co potem? Potem musimy, jak przedtem, wziąć się do badania przekształceń technicznych, aby sobie zdać sprawę z tego, skąd się wzięła owa zmiana w zasadniczych pojęciach gospodarczych, albo — jeśli kto woli—co było jej okazyą (konieczną i wystarczającą). Bogatsi zatem jesteśmy o tę świadomość, że zanim zmiany techniczne wywołają zmiany w stosunkach społecznych, musi ich działanie przejść przedewszystkiem przez naszą najgłębszą, utajoną apercepcyę społeczną. Świadomość to cenna, bo uwolni nas od różnych sprzeczności i przypominać nam będzie ciągle względność naszych sądów; ale na kierunek i sposób naszych badań konkretnych właściwie wpłynąć ona nie ma czem, tak samo jak krytyka czystego rozumu na badania psycho-fizyologiczne. Jak ta ostatnia, tak samo i społeczno-ekonomiczna krytyka dr. Grabskiego wyłuszcza to, co było utajone, wypowiada i stawia przed oczyma to, co powinno było się rozumieć samo przez się, i dlatego nie obala poprzedniego, konkretnego, „materyalistycznego“—że się tak wyrażę—*kierunku badań*, a tylko stawia go właśnie na nowej, względnej podstawie, i zarazem z jego bezwzględnością usuwa jego sprzeczności, jako *systemu*. Tak się rzecz ma np. ze szkołą Mengera. Sam dr. Grabski stwierdza, że z chwilą, kiedy wiemy o istnieniu zasadniczych pojęć gospodarczych, czyniących z jednostek istoty społeczne, oddziaływanie wzajemne tych jednostek na siebie w celu zaspokojenia tych potrzeb tworzy rzeczywiście sieć gospodarstwa publicznego, i można to zrozumieć bez sprzeczności. „Szkoła ścisła zapomina powiedzieć nam, skąd wie, że konkretne fakty mają wspólne formy“ (str. 128). Dr. Grabski mówi jej, skąd może ona o tem wiedzieć; dostarcza też ekonomistom logicznej racyi bytu dla empirycznie przyjętej przez nich prawidłowości zjawisk ekonomicznych; poczem ekonomiści, obronieni w ten sposób niejako na tyłach swej armii, mogą spokojnie posuwać się dalej w swych konkretnych poszukiwaniach i odkryciach. Mogą nawet nie bez pożytku, czy to w celu koordynaci systemu, czy krytyki, posługiwać się dedukcyą, biorąc za punkt wyjścia jedno ze zjawisk zasadniczych (przeważnie—wartość), byle tylko pamiętali, że ich dedukcye mają wartość czysto względną, historyczną i przemijającą.

W większym jeszcze stopniu stosuje się to do teoryi ekonomicznej Marxa—w większym, bo w niej zawiera się w dość wyraźnym dla nieuprzedzonego oka zarodku poznawczo-krytyczne stanowisko dr. Grabskiego. Autor nasz wprawdzie nie dopatrzył się tego i zarzuca Marxowi, że śladem klasyków ignorował charakter społeczny wartości i widział ją tylko w „technicznym stosunku dóbr do naszej fizycznej pracy,“ gdy przecie przy wymianie wchodzi w grę coś więcej: „powszechnie obowiązujący charakter oceny wartości w danem środowisku społecznem“ (str. 31, 32). Doprawdy, niezrozumiale brzmi podobny zarzut wobec tego, że Marx określa miarę wartości jako *społecznie* niezbędną, *przeciętną* ilość pracy, zawartej w towarze, i kładzie wciąż nacisk na społeczny charakter samego zjawiska towaru. Dr. Grab. wylicza „Kapitał“ w swej obfitej i zajmującej bibliografii, pozwoli jednak, że mu przypomnę ustęp z § IV r. I („Dlaczego towar ma charakter fetysza?“) ustęp, za który należałoby się Marxowi ze strony dr. Grabskiego właśnie trochę synowskiego uznania: „Stosunki wytwórców, stwierdzające charakter społeczny ich prac, przeistaczają się w stosunek społeczny samych wytworów. Oto dlaczego te wytwory stają się towarami, tj. *rzeczami zarazem podpadającemi i niepodpadającemi pod zmysły t. j. rzeczami społecznemi*. W podobny sposób świetlne odbicie jakiegobądź przedmiotu na nerwie wzrokowym nie przedstawia się, jako przedmiotowe pobudzenie samego nerwu, lecz jako czuciowa forma czegoś, istniejącego na zewnątrz od oka. Trzeba jednak przytem zauważyć, że w akcie widzenia światło istotnie pada od jednego przedmiotu zewnętrznego, na drugi przedmiot, oko: jest to stosunek fizyczny, pomiędzy przedmiotami fizycznymi. Przeciwnie *forma wartości i stosunek wartościowy wytworów pracy nie mają nic wspólnego z ich naturą fizyczną*. Jest to tylko oznaczony stosunek społeczny ludzi pomiędzy sobą, przybierający w ich oczach fantastyczną formę stosunku rzeczy pomiędzy sobą.“—Jakże można wobec tego zarzucać Marxowi, że był najkonsekwentniejszym w materyalizmie, mechanizmie i innych okropnych rzeczach, i że mianowicie „właściwym czynnikiem życia ekonomicznego zrobił nie człowieka, lecz towar“ (str. 39)! Któż to właśnie, jeśli nie Marx, żartował sobie z „bankiera Ricarda, który ludzi zamienia na kapelusze?“

Co prawda, ten sam Marx jednocześnie żartował sobie z filozofa Hegla, że zamienia on „kapelusze na idee...“ Dr. Grabski wprawdzie Hegla także nie lubi, ale w szeregu filozofów niemieckich godzien zająć poczesne miejsce. Zapewne też dlatego—rzecz charakterystyczna dla modnego „kryzysu!“—traktując Marxa z widocz-

nemi oznakami pobłażliwości, parokrotnie, jako na powagę, powołuję się (przyjaźń—czy snobizm?...) na—pana Balickiego.

Dr. K. Krauz.

LITERATURA I SZTUKA.

Fryderyk Henryk Amiel

(1821—1881)

(PRZYCZYNEK DO PSYCHOLOGII WSPÓŁCZESNEJ).

I.

Amiel był autorem paru zbiorków poezyj bądź oryginalnych, bądź też tłomaczonych, był także profesorem estetyki i filozofii na uniwersytecie genewskim; ale cała ta jego działalność niknie wobec pomnika, jaki wystawił on sobie bezwiednie: pomnik to, jeśli nie wiecznotrwały, to przynajmniej trwały tak długo, jak długo wzbudzać będzie zainteresowanie stan dusz ludzkich w drugiej połowie XIX wieku; mam tu na myśli oczywiście dusze tych warstw społecznych, pospolicie inteligencyą zwanych, które są zupełnymi i świadomymi wyrazicielami ducha pewnej epoki, ducha, który do pewnego dość nieznacznego stopnia jest własnem ich dziełem. Pomnikiem, tym jest dziennik Amiela, z którego wyjątki były wydane po jego śmierci.

W dzienniku tym autor z bezwzględną szczerością i prostotą słów dla siebie samego pisanych notował każdy nowopowstały odcień swych myśli lub uczuć, nie wiedział przytem on, który się tak dręczył myślą o swej bezpłodności literackiej, że stwarza w ten sposób dzieło jedyne w swojim rodzaju.

Istnieje już dziś cała literatura Amielowska, która liczy takich przedstawicieli jak Renan i Bourget; powiedzieć przecie o Amielu coś nowego—byłoby może rzeczą jeżeli nie wprost niemożliwą, to przynajmniej niezmiernie trudną. Nie kuszę się też o to. Sądzę tylko, że niektóre strony tej duszy rzewnej i zamkniętej w sobie, a pełnej przeciwieństw i walki wewnętrznej, nie były dotychczas uwydatnione, a przynajmniej nie zwróciły dostatecznie uwagi myślącego i czytającego ogółu; a jest to tem ważniejsze, że to właśnie strony umysłowości Amiela uważam za najbardziej typowe, najbardziej rozpowszechnione pośród jego współczesnych i nas—ludzi późniejszych już generacyj.

Według dość powszedniego mniemania wartość „Dziennika“ Amiela zasadza się na tem, iż jest on wyrazem głębokiego smutku, o pochodzeniu intelektualnem — wypływającego z niemożności dania pewnej i stanowczej odpowiedzi na ten odwieczny znak zapytania, jakim jest świat dla dusz, które myślą. Mniemanie to jest najzupełniej słuszne, ale wysuwa ono na pierwszy plan nie to, co jest najbardziej dla Amiela charakterystycznem, nie to, co czyni z jego dziennika prawdziwy unikat. Literatura powszechna posiada już dzieło, będące najdoskonalszym wyrazem tej umysłowej tęsknoty. Dziełem tem są „Myśli“ Pascala, z któremi często zestawiano „Dziennik“ Amiela, wyświadczając mu w ten sposób jak najgorszą usługę. Wprawdzie „Myśli“ Pascala są tylko urywkami większej całości, ale wszakże odłamkiem tylko jest także Wenera z Milos. Wobec krzyku bólu, krzyku tak rozpaczliwego, że krew ścina się w żyłach, jaki wydaje zraniony orzeł Jansenizmu, na samą myśl na samo przypuszczenie samotności w bezmiarach wszechświata, wobec tej skargi Prometeusza we włosiennicy blednie wszystko i gaśnie; wobec „Myśli“ Pascala nawet „Dziennik“ Amiela wydaje się literaturą w Verlainowskiem znaczeniu tego wyrazu.

Nie sama tęsknota metafizyczna, ale droga, po której Amiel do niej przyszedł, stanowi o trwałej wartości tych luźnych kart, zebranych przyjazną ręką. Droga ta jest charakterystyczną dla nas—dzieci schyłku XIX wieku, dla nas, którzy bez nadziei i radości witamy jutrzenkę nowego stulecia.

Punktem wyjścia Amiela, źródłem, z którego wszystko u niego wypływa i wszystko się tłomaczy, jest niezwykle rozwinięta zdolność przedmiotowego myślenia. Zdolność ta pozostaje w ścisłym związku z inną zdolnością, pojmowania i odtwarzania w sobie uczuć innych istot, choćby najbardziej obcych i najbardziej odległych. Związek ten dostrzegł Taine', który powiada: „Oprócz swej własnej duszy przyrodzonej i narodowej, krytyk powinien posiadać pięć albo sześć dusz nabytych i sztucznych; w takim bowiem tylko razie jego sympatya będzie mu mogła otworzyć świat myśli i uczuć obcych lub wygasłych. Najcelniejszym owocem krytyki jest to — mówi dalej — że wyzwala nas ona od nas samych: zmusza do brania w rachubę środowiska w którem żyjemy, przyucza odróżniać przedmioty od złudnej szaty przemijających pozorów, w jaką odziewa je nasz charakter lub nasza epoka. Każdy z nas widzi świat przez okulary o różnej wypukłości i barwie, możemy więc sobie wyrobić pewne pojęcie o istocie widzianych przez nas przedmiotów, jedynie uwzględniając, jakim przeobrażeniom w swej barwie i formie ulegają one dzięki naturze i budowie szkieł przez nas używanych. Dotychczas różność tych szkieł była przyczyną jedynie zwad i walk nieustannych: jedni uważali za niebieskie to, co innym wydawało się czerwonem lub żółtem—każdy więc oskarżał swego sąsiada o złą wolę, lub też o wzrok wadliwy. Dopiero niedawno zaczęliśmy się uczyć optyki moralnej, zrozumieliśmy już jednak, że barwy leżą nie w przedmiotach, lecz raczej w nas samych, gotowi więc jesteśmy przebaczyć naszym sąsiadom, że widzą oni co innego i inaczej, niż my; pojmujemy nawet, że musi im się wydawać niebieskiem, to co jest dla nas czerwonem — zielonem to, co my uważamy za żółte. Dostrzegamy wreszcie związek pomiędzy pewnem zabarwieniem widzianych przedmiotów i pewną budową szkieł; możemy więc powiedzieć, w jakiem zabarwieniu ukaże się temu lub innemu człowiekowi — ten albo ów przedmiot. Ostatecznym wynikiem będzie umiejętność kierowania systematem dla każdego określonego umysłu i być może wyzwolenie od wszelkiego systematu“ (*Histoire de la literature Anglaise*, V, 304—305).

Jeżeli jednak przedmiotowość myślenia a więc i wszystkie z niej wypływające właściwości duchowe, pozostają w tak ścisłym związku z tem, co ogólnie jest znanem pod nazwą „zmysłu historycznego“ — zagadnienie staje się ogólniejszem i ze względu na swą ogólność zasługuje na głębszą uwagę. Wszak ten „zmysł historyczny“ to jedna z najbardziej chlubnych zdobyczy XIX wieku. Przebiegając w myśli jego rozwój, mógłbym napotkać i wskazać cały szereg imion, które są jakby słupami milowymi na drodze, po której zmysł ten kroczył w swym stopniowym wzroście: byłyby tam imiona filozofów ze szkoły Hegla, historyków takich jak Carlyle i Michelet — ci prawdziwi „wieszczbiarze przeszłości,“ krytyków takich, jak Taine albo Sainte-Beuve, ów wielki botanik i klasyfikator umysłów ludzkich, powieściopisarzy nawet takich, jak Stendhal lub Balzac Czemże jest wreszcie, jeżeli nie rozszerzeniem na całą przyrodę poglądu historycznego filozofia ewolucyjna? Jako ostatni i najwyższy szczebel tego rozwoju, mógłbym wskazać pomiędzy innymi Ryszarda Avenariusa, tego filozofa, który przebiega targowiska ludzkie „nie w celach kupna lub sprzedaży,“ lecz jedynie jako widz i obserwator, dla którego nawet wysiłki umysłu Newtona lub Kanta, nawet wieszcze rojenia poety — to tylko, jeśli nie *une illusion à decrire*, to *une illusion à connaître*, chociaż *decrire* i *connaître* dla Avenariusa to równoznaczniki. Mógłby on powiedzieć o sobie to, co Stendhal powiedział gdzieś o powieści, że jest ona zwierciadłem podróżującem.

Takiem zwierciadłem był i Avenarius, tylko nader subtelnem i uduchowionem, w którem odbijały się nawet takie rzeczy, jak nieuchwytny bieg myśli ludzkiej; wszystko jednak zawsze napotykało w nim chłodny i niezmącony spokój, spokój zwierciadlanej powierzchni. Takie lub zbliżone stanowisko, jak to, które zajmuje Avenarius w filozofii, zajmują w innych sferach życia kulturalnego Flaubert, Leconte de Lisle, Renan, Anatole France, Jules Lemaître i wielu innych.

Sądzę, że to, com powiedział, wystarczy, aby przedstawić bezwzględną przedmiotowość myślenia, jako jeden z tych punktów wytycznych, ku którym zdaje się podążać nasza epoka, chaotyczna i miotana przez różnorodne wpływy.

Niech mnie nikt nie posądza, ażebym we wpływie wyżej wymienionych ludzi, lub jakichś innych, których nie wymieniałem, widział siłę, nadającą naszemu życiu umysłowemu ten właśnie kierunek. Przeciwnie, ludzie ci są w moich oczach objawami jedynie zmian o wiele głębszych, jakie zaszły w społeczeństwach współczesnych. Jest faktem, nieulegającym wątpliwości, iż warunki współczesnego życia społecznego są tak skomplikowane i różnorodne, że samo nasze życie wewnętrzne, życie duchowe jednostek, które jest zawsze do pewnego stopnia wytworem społeczeństwa, musi również stać się złożonem z wielu różnorodnych czynników. Silna zaś i nieprzystępna osobowość, o wybitnych cechach indywidualnych, może powstać jedynie tam. gdzie cechy te są stosunkowo nieliczne i nie pozostają w zasadniczej ze sobą sprzeczności. Jakże dalekimi od tego jesteśmy my—punkty przecięcia niezliczonych i częstokroć wprost sprzecznych z sobą prądów duchowych, przenikających społeczeństwa, w których żyjemy. Wszystko nas ku sobie pociąga, wszystko zrozumieć i odtworzyć możemy, gdyż ze wszystkiem łączy nas jakieś bliższe lub dalsze powinowactwo. Tu należy szukać wyjaśnienia wielu zjawisk duchowych końca XIX stulecia, a wyjaśnienie to ułatwia nam w znacznej mierze „Dziennik“ Amiela.

(C. d. n.).

Stanisław Brzozowski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Italy To-day, by Bolton, King and Thomas Okey (Nisbet („Włochy spółczesne“).

Ciekawy i wielostronny opis współczesnego położenia Włoch, zawierający liczne wskazówki możebnego w przyszłości ich rozkwitu. (*Review of Re-*

Studies of French Criminals of the Nineteenth Century, by H. B Irving (William Heinemann) („Sylwetki przestępców francuskich w XIX stuleciu“).

Ciekawy dla prawnika i psychologa szereg szczegółowo i podmiotowo skreślonych życiorysów słynnych zbrodniarzy francuskich oraz warunków i domniemanych przyczyn ich zbrodni. (*Daily News*)

La Liberte de la Presse depuis la Revolution, par Gustave Le Poittevin. („Wolność prasy od czasów Rewolucyi“).

Autor, prawnik z powołania, daje obraz rozwoju prasowego prawodawstwa francuskiego w ciągu ostatniego stulecia. (*Temps*).

Urgeschichte der Cultur, von Dr. Heurich Schurtz (Bibliographisch. Instit., Leipzig und Wien).

Nowe opracowanie badań naukowych z dziedziny kultury pierwotnej. (*Frankfurt Zeitung*).

Die Kunst, binnen 24 Stunden ein perfectes Romanschriftsstelles zu werden, von Jocosus Hilarus (Berlinsche Verlaganstalt). („Sztuka stania się w 24 godziny doskonałym powieściopisarzem").

Autor dowcipnie wyszydza powieściopisarzy, traktujących swe zajęcie jak rzemiosło. Opowiada czytelnikom o sposobach stale używanych przez nich przy fabrykacyi powieści i podaje wzory szkieletów, według których z łatwością można napisać powieść społeczną, psychologiczną lub erotyczną oraz romans do „głośnego czytania w kole rodzinnem." (*Frankfurt Zeit*).

The Autobiography of a Journalist, by W. J. Stillman (Grant Richards, — 2 fol. 34 k. London („Autobiografia dziennikarza").

Autor wstąpił w szranki społeczne w czasach niezmiernie burzliwych w Europie i został wysłany do Kossuta w misyi politycznej. Następnie spędził długi czas na Wschodzie i jako jeden z głównych współpracowników *Times'a* zasilał ten dziennik stale artykułami o tamtejszych stosunkach Należał do dziennikarzy starej daty i szlachetniejszego typu. (*Review of Reviews*).

La vie des abeilles, par Maurice Maeterlinck („Życie pszczół").

Poemat prawdziwy, to „życie pszczół," poemat, dla stworzenia którego autor nie potrzebował uciekać się do zmyśleń fantastycznych. On kocha te owady i otacza je urokiem poezyi, mówi o nich z zachwytem, szacunkiem niemal i bliskim jest przyznania im mądrej świadomości wszystkich ich czynów. Pełno tu myśli pięknych, głębokich i prześlicznych opisów przyrody, a wszystko przenika jakieś dziwnie ciepłe, pełne świeżości i serdeczności uczucie.

SPRAWY EKONOMICZNE

KUPIEC W WIEKU DZIEWIETNASTYM.

Ubiegłe stulecie przypomina owych tytanów z okresu Odrodzenia, co to jednocześnie budowali wielkie świątynie, malowali nieśmiertelne obrazy, dokonywali epokowych odkryć fizycznych, pisywali klasyczne prace o locie ptaków itp. Już sam szereg przydomków, nadawanych zgasłemu wiekowi (a tytułów posiada on co najmniej tyle, ile przeciętna infantka hiszpańska) świadczy o jego wszechstronnych zasługach. W jego herbie obok symbolów, wyobrażających niesłychany rozmach idealizmu i rozkwit zdobyczy naukowych, znajdują się nawet tak pospolite znaki, jak kotwica i waga z jedną, przechyloną nieco szalą. Wiek dziewietnasty bowiem przyniósł nieznane w dziejach tryumfy handlowi, a co ważniejsza, nadał tej czynności, napół pasorzytniczej w mechanizmie gospodarczym, stanowisko *spiritus rector*. Rycerz łokcia i miarki, spekulant, kapłan złotego cielca wyrósł odrazu na wielkiego bohatera ekonomicznego, organicznie związanego z dzisiejszym ustrojem wytwórczym.

Zamierzamy tu dać drobne zdjęcie ze zmian zaszłych w przeciągu ubiegłych stu lat w organizacyi handlu, a raczej nie tyle zdjęcie, ile odbitkę z fotografii, wykonanej przez znanego ekonomistę, prof. Schmollera *).

Handel średniowieczny polegał na bezpośredniej wymianie produktów pomiędzy chłopem a rzemieślnikiem. Na cotygodniowych i dorocznych jarmarkach stykali się oni dla zawierania tranzakcyj. Po za tem istniała szczupła grupa wędrownych handlarzy, wwożących z obcych krajów przedmioty zbytku. Aż do powstania poczt (w XVI stuleciu) kupiec ten dotrzymywał nieustannie towarzystwa swym towarom, podczas ich debiutów rynkowych. W najlepszym razie tę rolę impresarya obejmowali: syn jego, wspólnik lub komisyoner godny zaufania. Z powstaniem poczt ten koczowniczy handel ustępuje miejsca wielkiemu kupcowi, który stale zbywa swe sprowadzane z zagranicy towary miejscowym kramikarzom. Mamy tedy trzech przedstawicieli czynności wymiennej: hurtownika, następnie, jako jego uzupełnienie, detalistę, wreszcie rzemieślnika, prowadzącego sklep obok warsztatu. Handel wędrowny zaś wegetuje w formie szczątkowego, jako „Węgier-obieżyświat." Stąd pogarda, która ciąży na roznosicielu aż do wprowadzenia nieograniczonej wolności procedury; stąd prawa wyjątkowe, utrudnienie koncesyi i ciężar podatkowy, gniotący nieboraka z łaski państwa i opinii publicznej.

Handel drobny przez szereg stuleci znajdował się w stanie zastoju, nie podlegając zróżniczkowaniu, ani nie zaprowadzając żadnych udoskonaleń technicznych. Natomiast podział pracy toruje sobie coraz wyraźniej drogę w dziedzinie wielkiego handlu. Z czasem powstają słynne domy bankierskie, trudniące się wyłącznie operacyami pieniężnemi. Obok nich występują na widownię wielkie firmy zbożowe, napotykamy też wielkich księgarzy, handlarzy żelaza, sukna itd. Ta mozajka fachów i dość wysoka stopa obrotów powołują do życia specyalne organy handlowe w osobie pośredników-maklerów; którym prawo zabraniało dokonywania własnych obrotów. Sfery wymiany i wytwórczości przedstawiają w owym czasie dziedziny, oddzielone wzajem nieprzekraczalnemi granicami prawnemi. *Nec sutor ultra crepidam* było zasadą starodawnej organizacyi ekonomicznej. Rękodzielnikowi nie wolno było jąć się handlu, a kupcowi trudnić się rzemiosłem. Już z tej racyi handel przez długi czas odgrywał rolę drugorzędną i do powstania kolei żelaznych opanowywał właściwie dość ograniczone terytoryum ekonomiczne; 50—80% produkcyi narodowej znajdowało się po za jego wpływem. A pomimo lub właśnie dlatego starodawnemu kupcowi wiodło się niezgorzej. Zdobycze handlowe, dokonane drogą aneksyi, pozostawały w jego władzy, a utrzymanie w poddaństwie podbitych rynków nie wymagało wielkich wysiłków. Co ważniejsza, zawód handlowy nie narażał na zbyt zwodnicze i niebezpieczne pokusy moralne, ani na zatargi z prawem. Wszystko tchnęło wówczas jeszcze idyllą drobnomieszczańską; nie znano wyuzdanego współzawodnictwa, rozboje szwindlu w oczach całego ogółu nie były na porządku dziennym, a oszustwo nie uchodziło jeszcze za alfę i omegę mądrości życiowej. Aż oto jakby na skinienie różdżki czarodziejskiej w pierwszej, a raczej w drugiej połowie XIX stulecia dekoracya zmienia się. Rozlega się świst pierwszej lokomotywy i przy odgłosie trąb Jerychońskich, zwiastujących reformacyę, padają mury średniowiecznych ograniczeń. Rodzi się wolność procedury, a z tem handel zakreśla coraz szersze koła, gospodarstwo pieniężne rozszerza się, kredyt dolewa oliwy do ognia spekulacyi, kapitał rośnie, jak na drożdżach i chwyta się obrotów, interesów i przedsiębiorstw wszelkiego rodzaju i wszelkiej wielkości, gorączka współzawodnictwa wnosi do życia zarazki zepsucia. Handel staje się wszechpotęgą i wżera się we wszystkie pory ciała gospodarczego; ze statysty przedzierzga się odrazu w pierwszego aktora. Obroty miejscowe kurczą się w porównaniu z wymianą międzynarodową. Nie uprzywilejowane tylko artykuły wchodzą teraz w zakres kompetencyi handlu, lecz wszelkie produkty, najbardziej powszednie i spożywane przez masy, przechodzą przez ręce kupca, jako ogólnego pośrednika pomiędzy wytwórcą a spożywcą. Rynek wszechświatowy rozciąga swą sieć niewidzialną nad każdem gospodarstwem domowem, zarówno nad chatą chłopską, jak domem szlacheckim, nad warsztatem i fabryką, kramikiem korzennika i magazynem arystokratycznym. Najbardziej uderza nas, iż wytwórcę od spożywcy oddziela mur graniczny nie w osobie jednego kupca, lecz całej chmary pośredników, z których jeden poddaje towar przeróbce, drugi wskazuje mu właściwe miejsce przeznaczenia, a trzeci wyrównywa jego cenę. Odpowiednio do długości tego łańcucha pośredników handlem trudni się obecnie nie jak dawniej 3—5% ludności, lecz 11—15%, a w wielkich miastach 31%.

Zobaczmy teraz, jakim zmianom podległ podział pracy w dziedzinie handlu. Wraz z kolosalnym wzrostem sieci kolejowej musiały narodzić się przedsiebiorstwa specyalne, pośredniczące pomiędzy kupcem a środkiem komunikacyjnym: są to interesy t. zw. ekspedycyjne. Oprócz tego wyłoniły się domy składowe, przechowujące towary i odgrywające doniosłą rolę, zwłaszcza w Ameryce, pod postacią śpichrzów, które dzielą powierzane im zboże podług określonego systemu klasyfikacyjnego i wydają właścicielowi towaru kwit wartościowy, w formie t. zw. warantu, uprawniającego do odbioru danej ilości towaru danego gatunku. Również wzrosła ogromnie grupa maklerów, jakkolwiek rola ich znacznie się zmieniła. Makler nowoczesny mianowicie nie poprzestaje na „rajfurstwie" handlowem, lecz przeciwnie, werbując klientelę dla reprezentowanej firmy, jednocześnie sam, jako agent i komisyoner, bierze czynny udział w obrotach. Większą niezależnością cieszą się domy komisyonerskie, które dokonywają obrotów na własną rękę, lub z polecenia innych firm za stałem wynagrodzeniem. Domy tego rodzaju powstały w XVI w. w Antwerpii i, jakkolwiek zrobiły później wielkie postępy, puściły właściwie korzenie na glebie ekonomicznej dopiero w XIX w. Są one jakby satrapami wielkiego handlu, albowiem one głównie umożliwiły rozpraszanie się towarów na cztery wiatry pomimo osiadłego trybu życia ich wytwórcy.

Jeszcze bardziej rozpanoszył się w XIX stuleciu handel spekulacyjny, robiący zakupy jedynie w oczekiwaniu wielkich zysków i w celu sprzedaży przy innych warunkach czasu lub miejsca. Tego rodzaju tranzakcye są organicznie związane ze współczesnym charakterem produkcyi, która pracuje na chybił trafił, nie na bezpośrednie zamówienie spożywcy, lecz na podstawie oczekiwanego w przyszłości zapotrzebowania. Wyrównanie podaży i popytu mają na celu t. zw. obroty terminowe, których istotę stanowią dostawy na termin przyszły. Tylko w ten sposób udaje się utworzyć olbrzymie zapasy zapotrzebowanego zboża, sprowadzanego z rozmaitych miejscowości przez różnych pośredników, określonej ceny i jakości. Pomiędzy sprzedawcę a kupującego wciska się szereg aferzystów, którzy w przeciągu czasu, poprzedzającego dostawę, korzystają z wahań cen towarowych. Ta spekulacya jest atoli pewnego rodzaju rękojmią, iż dostawa dotrzyma kroku zapotrzebowaniu. Nic nie można mieć przeciwko uczestniczeniu w tych operacyach fabrykantów, kupców, komisyonerów i maklerów. Gdy jednak armię spekulantów powiększają indywidua z pod ciemnej gwiazdy, gdy nadto w tym kiermaszu ryzyka i żądz biorą udział osoby prywatne z publiczności, wtedy powstaje połączenie nienormalne, gdyż kilku szachrajów, zwabiwszy publiczność w zasadzkę wygórowanych nadziei, obiera ją następnie z krwawego grosza. Zadaniem przyszłego prawodawstwa będzie tedy przedewszystkiem uregulowanie tranzakcyj terminowych. Taką

*) Prof. Gustaw Schmoller: *Der Handel im XIX Jahrhundert*.

oto ewolucyę przeszedł handel wielki, a raczej hurtowy. Teraz przyjrzyjmy się dziedzinie wymiany detalicznej. Przedewszystkiem stoi ona również pod znakiem specyalizacyi. Syntetyczno, że się tak wyrażę, sklepiki z dawnych dobrych czasów wyszły z mody i sprzeciwiają się duchowi epoki. Specyalizacya idzie ręka w rękę z współzawodnictwem, to zaś święci swe orgie coraz bezwzględniej w świecie kramikarstwa pod wpływem rozmnażania się sklepików. Po części odpowiada ono istotnym potrzebom, wywołane skurczeniem się gospodarstwa domowego, poniekąd jest ono tylko jednym z objawów współzawodnictwa pomiędzy przemysłowcami, którzy przy pomocy własnych sklepów detalicznych kaptują sobie klientelę. Prusy w r. 1857 liczyły 33 sklepy na 10 tysięcy mieszkańców, w r. 1861 — 44, w 1895 — 77. Na 647 tys. zakładów handlowych Niemiec w 1895 r. przypadało 430 tys. sklepików. W 1846 r. każdy czterdziesty Berlińczyk trudnił się handlem, w 1890 — każdy osiemnasty, czyli co czwarty lub piąty dorosły mężczyzna. Łatwo zrozumieć, iż ten *embarras des richesses* prowadzi do wszechstronnej walki współzawodniczej. Tem bardziej zaś musiały nastać ciężkie czasy dla handlu detalicznego, gdy w ostatniem dziesięcioleciu zaczęły ukazywać się, jak grzyby po deszczu, wielkie magazyny, owe tłuste krowy Faraonowe, co połykają z wielkim apetytem swe chude towarzyszki, pasące się na tej samej łące. W samych Niemczech instytucyj tych istnieje obecnie około 500. Największe z nich zatrudniają 3—5 tysięcy ludzi, mają rocznego obrotu 60—120 mil. marek. Jakaś siła magiczna tkwi w tych pałacach ze szkła i żelaza, rozporządzających całym aparatem reklamowym. Właściwa tajemnica ich powodzenia polega na tanim zakupie, trzymaniu tylko kilku gatunków towaru i sprzedaży wyłącznie za gotówkę po nizkiej cenie. Wielki kapitał, jak widzimy, przeistoczył do gruntu technikę handlu detalicznego. Oprócz tego wielkie sklepy specyalne, korzystając z tanich opłat pocztowych, rozciągnęły swą sieć na najbliższe okolice, a niekiedy bardziej odległą prowincyę. Niektóre przedsiebiorstwa mają nadto po kilkadziesiąt, a nawet, jak w Berlinie, kilkaset filij. Słowem, wielki kapitał w najrozmaitszy sposób wydziera skarłowaciałemu drobnemu handlowi jego klientelę.

Jeśli teraz zapytamy, jaki jest ostateczny bilans nakreślonego rozwoju, to odpowiedź nasza będzie brzmiała jak następuje: Z niewielkimi wyjątkami prysnęły wszelkie bezpośrednie stosunki pomiędzy wytwórcą a spożywcą. Pomiędzy jednym a drugim uwija się czereda pośredników zainteresowanych w tem, aby poróżnić obie strony. Psychika tych czynników przekształciła się odpowiednio do nowych warunków: w niej odbija się w całym swym majestacie owa nieubłagana zasada: *ote-toi que je m y mette*, która naigrawa się ze starodawnych cnót, obyczajów i wszelakich przepisów prawnych. A jednak ten samorzutnie powstały stan rzeczy był koniecznym, pomimo iż wyrósł na gruncie chciwości i oszustwa. Niesłychany postęp handlu, który zawdzięczamy po części motywom bardzo podejrzanej wartości moralnej, jest podstawą i niezbędnym warunkiem współczesnego podziału pracy. To też reforma handlu jest zadaniem bardzo ciężkiem i skomplikowanem. Z jednej strony dochodzą nas skargi stanu średniego, z drugiej widzimy, iż złożyły się na jego upadek po części przepełnienie w tej dziedzinie, niezaradność ekonomiczna i niedostateczny poziom wykształcenia. Bez wątpienia współzawodnictwo stowarzyszeń spożywczych i bazarów zadało dotkliwy cios detalistom. Pamiętajmy wszakże, iż stowarzyszenia spożywcze cieszą się powodzeniem dzięki swej rzetelności i zdrowym zasadom społecznym, a magazyny przyspieszają postęp techniki handlowej, pod kontrolą zaś opinii publicznej mogą stać się nowym, doskonałym, najbardziej ekonomicznym wyrazem pośrednictwa handlowego. Widzieliśmy wyżej, że 11 do 13% ludności trudni się handlem. Jest to odsetka stanowczo za wysoka, granicząca niemal z marnotrawstwem społecznem. Bazary ze swą wzorową techniką procedury handlowej mogą zaprowadzić w tej rubryce zajęć ludzkich wielką oszczędność, a tem samem wyświadczyć społeczeństwu wielką przysługę.

H. Forszteter.

NA MARGINESIE.

Źródła bogactw kongregacyj. Majątek kongregacyj francuskich wynosi w sumie okrągłe 10 miliardów franków. Wbrew twierdzeniom klerykałów, nie pochodzi on bynajmniej w całości, ani nawet w większej części, z darów i zapisów wiernych, ale przedewszystkiem z mnóstwa przedsiebiorstw natury czysto handlowej i przemysłowej; kongregacye zakonne należą do najtypowszych kapitalistów. Nie mniej, jak 5,650 zgromadzeń zakonnych płaci podatek patentowy; oczywiście, bardzo wiele jest takich, co nie płacą, choć płacić by powinny. Zyski tych przedsiebiorstw są olbrzymie, a przyczyna tego jasna: użytkowanie z siły roboczej za darmo, jeśli są nią sami zakonnicy— braciszkowie lub nowicyusze, a za bezcen, jeśli są nią dorosłe kobiety lub dzieci. W swej witryolejem pisanej powieści p. t. „Journal d'une femme de chambre" Oktawiusz Mirabeau przedstawia przytułek dla służących, pozostających chwilowo bez miejsca: zakonnice, utrzymujące ten przytułek, przetrzymują tam służące jak najdłużej, dając im przeróżne roboty i każąc potem z zasług płacić jeszcze za utrzymanie, kiedy nareszcie nastręczą im jakąś służbę. Ale to tylko przytaczamy w nawiasie; nie na powieści, lecz na dokumenty urzędowe możemy się powoływać. Przedmiotem największego wyzysku są dzieci; czy to sieroty, czy inne, oddawane zakonnicom na wychowanie przez krewnych lub rodziców. Szczególnie odznaczają się w tym kierunku zakłady zakonnic reguły t. zw. „Dobrego Pasterza" (Bon Pasteur), rozpowszechnione w całej Francyi. Biorą one dzieci, dziewczynki na naukę; rodzicom i opiekunom obiecuje się, że dziewczęta nauczą się doskonale szyć. Faktycznie jednak po latach kilku, czasem kilkunastu, dziewczęta umieją tylko jakąś cząstkową robotę, panujący bowiem w warsztatach zakonnych podział pracy, zwiększający ich produkcyjność i zyski, nie pozwala uczennicom poznać całości fachu. I otóż, nad taką cząstkową, nudną, przytępiającą i umysł i zmysły robotą „muszą — pisał inspektor przemysłowy, Cabon — siedzieć 7 i 8-letnie dziewczynki od 7-ej rano do 4-ej po południu, poczem na jedną godzinę udają się do pokoju szkolnego. Pięćdziesiąt takich dziewczynek musi codziennie wygotować 9 tuzinów koszul męzkich. Jeżeli one tej roboty nie wykonają, to kończą je za nie starsze wychowanice 15 i 16-letnie, przyczem nieraz pracują długo w noc." Inspektor Laporte pisze w swem sprawozdaniu: „Można powiedzieć, że w tych zakładach właściwie odpoczynku wcale robotnice nie mają, ponieważ w godzinach przeznaczonych na odpoczynek, muszą spełniać roboty gospodarskie .. Czteroletnie dzieci pracują tam równie długo, jak dwudziestoletnie dziewczęta." Gdy prawo zakazało wreszcie pracy dzieciom poniżej lat 12, to siostry „Dobrego Pasterza" przestały zupełnie brać na wychowanie dzieci poniżej tego wieku, czem dały oczywisty dowód, że chodzi im nie o wychowanie dzieci, lecz o ich pracę, zysk przynoszącą. Dzięki posiadaniu tak podatnej siły roboczej, udało się siostrom zmonopolizować całkiem niektóre gałęzie produkcyi; tak np. oba wielkie magazyny paryskie, „Bon Marché" i „Louvre," od nich tylko biorą roboty hafciarskie. Jedna z byłych wychowanic „Dobrego Pasterza," panna Lecoanet, która w klasztorze w Nancy straciła młodość, zniszczyła wzrok i w końcu zwolniona została przez siostry, z biletem kolejowym tylko i bez grosza zarobku, wytoczyła im obecnie proces o odszkodowanie. Otóż adwokat jej zrobił następujące przybliżone obliczenie zysków rocznych tej instytucyi: Kongregacya „Dobrego Pasterza" ma 210 zakładów w różnych miastach Francyi i „wychowuje," czyli zatrudnia 47,000 dziewcząt. Przypuśćmy jednak — mówi adwokat — dla pewności, że jest ich tylko 20,000. Każda z tych dziewcząt otrzymałaby na pewno wszędzie za swą pracę, którą siostrom daje, 3 franki dziennie. Przypuśćmy jednak, że tylko 2 fr. W klasztorze natomiast robotnice dostają tylko utrzymanie, które kosztuje niewątpliwie mniej, niż utrzymanie żołnierza: na to ostatnie wydaje rząd 55 centymów dziennie. Przypuśćmy jednak, że siostrzana opieka „Dobrego Pasterza" pochłania dziennie aż 75 centymów. Po tych wszystkich przypuszczeniach wypada, że na każdem dziewczęciu kongregacya zaoszczędza sobie $1\frac{1}{4}$ fr. codzień; na wszystkich — 25,000 fr. dziennie, czyli — po odliczeniu niedziel i świąt — *siedem i pół miliona fr. rocznie!* Jest to minimum hypoteteczne, które rzeczywistość na pewno o wiele przewyższa.

Jeszcze jedna charakterystyczna strona tej produkcyi pedagogicznej i chrześciańskiej. biskup z Nancy, mgr. Turinaz, który oskarżył zakład „Dobrego Pasterza" przed właściwą instancyą, kongregacyą kardynalską „biskupiozakonną" w Rzymie, o ten wyzysk dzieci i nieposłuszeństwo jego władzy, napisał w swym memoryale, że bielizna, wyrabiana przez ten zakład, jest tak szalenie zbytkowna i wymyślna, że ją chyba kupować i używać mogą — królowe paryskiego półświatka. Biskup — jeden znalazł się taki odważny — przegrał jednak sprawę w Rzymie, przegrał z kretesem. Żaden biskup ani arcybiskup nie jest w stanie dostarczyć stolicy apostolskiej dziesiątej części tego świętopietrza, co istniejąca od lat 40 kongregacya „Dobrego Pasterza", przewyższają ją chyba — kongregacye, rozwijające swą działalność w miejscach cudownych.

Wobec tego krzyczącą zaiste jest niesprawiedliwością i zaprzeczeniem wszystkich tradycyj rzeczypospolitej, że prawo przeciw kongregacyom, uchwalone już dzisiaj i przez senat, wkrótce nareszcie położy kres tej dobroczynnej działalności sióstr i braci.

Sp.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Specyalna komisya przy ministeryum komunikacyj opracowała projekt nadania praw służby państwowej wszystkim etatowym urzędnikom zarządów dróg żelaznych. Dotychczas z praw tych korzystali tylko inżenierowie dróg i mostów, inżenierowie technolodzy i osoby zaliczone do ministeryum.

— Główny zarząd do spraw fabrycznych i górniczych wydał rozporządzenie, że listy imienne robotników i inne księgi, ustanowione w celu nadzoru nad zakładami przemysłowymi, uważane są za dokumenty urzędowe, a przeto powinny być prowadzone w języku rosyjskim.

— W Środzie, w W. Ks. Poznańskiem, wybrano do dozoru szkolnego te same osoby, które niedawno władza szkolna usunęła od tej czynności, a od której również zależy ich zatwierdzenie. Wszyscy są Polacy.

Szkoły. Zapadła ostateczna uchwała co do przyjmowania wychowańców szkół realnych do Akademii medycznej. Oprócz patentu z 7 klas wymagać od nich będą egzaminu dodatkowego z zakresu kursu gimnazyalnego. Kto będzie chciał odłożyć ten egzamin, winien złożyć odpowiednie podanie, ale jeśli w pierwszym roku egzaminu nie złoży, będzie z Akademii wydalony. Nowe to prawo wejdzie w życie dopiero w r. 1902; w bieżącym przyjmowani będą tylko kandydaci z gimnazyów filologicznych.

Z uniwersytetu. Z początkiem przyszłego roku akademickiego w uniwersytecie warszawskim na

kursach farmaceutycznych dla słuchaczów drugiego roku zaprowadzone będą wykłady o udzielaniu doraźnej pomocy w wypadkach wymagających niezwłocznego ratunku.

— W uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie rozpoczęły się kursa wakacyjne dla kobiet. Zapisało się około 40 słuchaczek. Wykładają: prof. Ulanowski o „Zasadach historyi prawa publicznego,“ prof. Czermak o „Zasadach historyi,“ prof. Tretiak o „Podstawach i teoryi literatury,“ prof. Czerkawski o „Naczelnych zasadach nauki gospodarstwa społecznego,“ prof. Rozwadowski o „Rezultatach lingwistyki porównawczej,“ prof. Kopera o „Teoryi historyi sztuki,“ nadto pp. Krzymuski i Fierich.

Prasa. Wskutek Najwyżej zatwierdzonej uchwały rady państwa, ustanawiającej terminy prawomocności ostrzeżeń, udzielanych wydawnictwom peryodycznym, niepodlegającym uprzedniej cenzurze, minister spraw wewnętrznych postanowił uwolnić gazety *Birżewyja Wiedomosti*, *Woschod*, *Russkija Wiedomosti*, oraz tygodnik *Choziain*, od skutków uwagi do art. 144 ust. cenz. i pras., zastosowanego do powyższych wydawnictw, po udzieleniu im trzech ostrzeżeń.

— Od września pod redakcyą Jana Kasprowicza wychodzić będzie we Lwowie tygodnik literacki p. t. *Prąd*.

Obieżysasi. Na mocy praw państwa niemieckiego o ubezpieczeniu robotników na wypadek niezdolności do pracy, robotnicy sezonowi, pochodzący z państwa rosyjskiego i Austryi, pociągani byli do opłaty ubezpieczeniowej bez względu na to, że przychodzili do Niemiec tylko na czas robót letnich. Obecnie niemiecka rada związkowa wydała następujące rozporządzenie: Robotnicy polscy, poddani rosyjscy i austryaccy, którym właściwe władze pozwalają na pobyt w Niemczech w ciągu określonego czasu i którzy obowiązani są po upływie oznaczonego czasu powracać za granicę, nie podlegają obowiązkowej opłacie ubezpieczeniowej, jeżeli praca ich ogranicza się do zajęć gospodarskich na roli, w lasach itp.

Zjazd przemysłowców i techników polskich odbędzie się w Krakowie d. 9—11 września r. b.

Zapis. *Frankf. Ztg* donosi z New-Yorku, iż fabrykant lokomotyw, Roger, cały swój majątek, wynoszący 8 milionów dolarów, odarował muzeum sztuki.

Ruch kobiecy. *Gaz. Finl.* donosi, że na mocy Najwyższego zezwolenia z d. 20 czerwca, kobiety uzyskały te sama prawa wstępu do uniwersytetu helsingforskiego, co mężczyźni. Dotychczas musiały starać się o uzyskanie osobnego pozwolenia od wicekanclerza, które dopiero dawało im prawo wniesienia podania do rektora.

— Zgromadzony w Genewie „Związek kobiet,“ zaprotestował przeciw istniejącemu w Szwajcaryi prawu małżeńskiemu. W duchu tego prawa mąż jako głowa ma moc rozporządzania majątkiem żony. Zgromadzenie jednogłośnie oświadczyło się przeciwko tej wspólności dóbr, a za prawem ich rozdziału. Rozprawiano też nad koniecznością przedłużenia okresu prawomocności w poszukiwaniu ojcostwa, którego w Szwajcaryi nie wolno dochodzić już po upływie trzech miesięcy od urodzenia dziecka. Jedna z przemawiających żądała przedłużenia tego okresu do lat 16 dziecka, i ustanowienia prawa obarczającego rodzinę ojca, gdyby on sam nie był w stanie, obowiązkiem płacenia na utrzymanie dziecka, a w razie niemożności rodziny — gminę, z której ojciec pochodzi.

Zmarli. Sławomir Celiński, artysta-rzeźbiarz, w Mandżuryi, w 48 roku życia. Z pomiędzy wielu jego prac najwięcej zyskały uznania „Giermek ucinający sobie nogę,“ „Wieśniaczka,“ „Projekt pomnika Mickiewicza“ i inne.

— Edward Kräuttler, Krakowianin, malarz-portrecista, w Wiedniu, w 66 roku życia.

— Ignacy Żółtowski, w Krakowie, zacny obywatel, miłośnik ludu, człowiek wielkiej ofiarności na cele społeczne.

— Herman Grimm, uczony niemiecki, w Berlinie.

— Edward Moran, jeden z głośnych malarzy amerykańskich, w New Yorku.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Zwierowiczowi w Odesie. Do prenumeraty na następne półrocze nie dopłacił Sz. Pan 50 kop.

Długoletniemu prenumeratorowi. Ellen Kay jest Szwedką i mieszka w Sztokholmie. — Jest profesorem literatury powszechnej w jednym z uniwersytetów szwajcarskich.

Panu A. S. z Podola. Krakowskie Przedmieście nr. 66.

Panu Płaczkiewiczowi. Nr 2 zupełnie wyczerpany. Przykro nam, że żądaniu Sz. Pana zadość uczynić nie możemy.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Iюня 1901 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.